

## Judith

Moim planom opisania przeżyć z okresu okupacji przeszkodziła nagle choroba. Ale teraz, skoro wiem, że istnieje w Izraelu zainteresowanie przeszłością, postanowiłam na przekór chorym oczom i zmęczonemu sercu spróbować swych sił. Nie jestem pisarką – ale chyba nie o wartości literackie tu idzie. Kiedy po latach spotkałam kilku znajomych z tego okresu, wspominali fakty, których nie pamiętałam zupełnie. Z latami zatarły się też w pamięci nazwiska, daty. Pozatym pamięć ludzka jest selektywna. Nie wiadomo dlaczego człowiek odrzuca pewne przeżycia a inne, może mniej ważne zatrzymuje. Wyczytałam gdzieś, że w pisaniu pamiętników należy odrzucić prawdę nikomu nie potrzebną. Nie zgadzam się z tym. Nie ma niepotrzebnej prawdy. Może być niewygodna, niezgodna z tą czy z inną koncepcją narodowościową, polityczną czy emocjonalną. Dlatego w moich wspomnieniach będzie dużo czarno-białego koloru. Będą dobrzy i źli Niemcy, dobrzy i źli Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Bez wątpienia – jedno się nazistom udało: wyzwolić niskie, sprzedawcze i sadystyczne instynkty w ludziach. I to jest chyba nie mniejszą tragedią niż sama zagłada... Urodziłam się w 1923 roku w Krakowie, w środowisku które trudno określić jako mieszczańskie, jako że dziadkowie przeżyli swoje życie na wsi. Dawniej, jeszcze przed moim urodzeniem, byli właścicielami pięknego dworku w Kobierzynie pod Krakowem. Ja pamiętam tylko Berek - dwór dzierżawiony od docenta U.J. doktora Ziobrowskiego. Dwór w Kobierzynie odkupił podobno ówczesny prezydent Krakowa i przyjaciel rodziny, Juliusz Leo - jak fama rodzinna głosiła, wspaniały człowiek, który nigdy się nie poddał antysemickim wpływom. Byłam najmłodsza z trzech córek i moi rodzice, nauczeni doświadczeniem postanowili umieścić mnie w hebrajskim gimnazjum by mnie uchronić przed szykanami w szkole polskiej. Jestem im za to nieskończenie wdzięczna. Może przydało by mi się w związku z tym co przyszłość przyniosła nieco więcej hartu – ale przeżyłam tam najpiękniejsze lata swej pierwszej młodości. Wykładowcy, wysokiej klasy erudyci jak prof. Feldhorn, Friedlaender i inni przekazywali nam swą głęboką humanistyczną wiedzę i gdyby nie zagłada, świat zyskałby wielu intelektualistów z pośród absolwentów tej szkoły, gdy młodzież była przeważnie bardzo inteligentna i zdolna. Wiadomości na temat tego co się dzieje w Niemczech czy w Austrii po Anschlussie, docierały do nas. Moi dalsi kuzynowie uciekli z Wiednia gdzie studiowali medycynę i opowiadali o fali masowych samobójstw lekarzy, profesorów żydowskich i różnych potwornych sprawach które miały tam miejsce. Nie żeby im nie uwierzono, przecież i prasa o tym pisała – ale jeśli idzie o moją rodzinę – to mama pamiętała gładkie maniery i przyjazny stosunek oficerów austriackich którzy stacjonowali przy dworze przed pierwszą wojną światową. Jakoś trudno było uwierzyć "by takie kulturalne narody jak Niemcy czy Austriacy mieli się w ten sposób zachować". Jakże naiwni byli wszyscy! I czy było dokąd uciekać? W każdym razie końcem sierpnia 1939 ojciec w letnim paletku i z niewielkim zasobem gotówki wynajętym autem ruszył w kierunku Lwowa, "bo chyba wojny w końcu nie będzie". Nigdy go już nie zobaczyłam. Wywieziony w głąb Rosji zginął zamordowany przez Uzbeków w Samarkandzie. Zostałyśmy same z mamą i starszą odemnie siostrą. Wojna jednak wybuchła. Wiadomości z frontu były bardzo mgliste. Radio mówiło o bohaterskiej obronie Warszawy i Westerplatte. Parę dni potem stałam obok Sukiennic na Rynku Krakowskim i widziałam wkroczenia Niemców. Nazajutrz moja ciotka opowiadała, że była na ulicy kiedy z jakiejś bramy padł strzał, - nikogo nie ugodził. Przechodzący żołnierz niemiecki chwycił jakiegoś przygodnego Żyda za brodę i wrzasnął: "Du Jud' du hast geschossen!" Myślę, że od tej chwili już wiedzieliśmy, albo przynajmniej zaczęliśmy uświadamiać sobie grozę położenia. Tymczasem była piękna, słynna jesień 1939. Końcem września radio nadało w dwóch językach: Warszawa padła! Warshau hat sich ergeben... Grupa kolegów i koleżanek chodziła codziennie pod naszą szkołę jakby chcąc z opustoszałego budynku, z jego martwej ciszy wydobyć jakąś otuchę. Widzieliśmy w tej szarej budowli przy ulicy Podbrzezie jakiś pomost z przeszłością. Szukaliśmy w tej opustoszałej "Kuźni intelektu" jak nazywaliśmy naszą "budę" jakiegoś wytłumaczenia dla tego co się stało. I raz spotkał nas wyśniony cud: brama otwarta a wewnątrz skromne grono profesorów gotowe za niewielką opłatą podjęcia się ryzyka kontynuowania naszej nauki. Nas też już nie było wiele – większość uciekła do Lwowa. Ale tych co zostali zorganizowano w klasy, zaczęto naukę, na tyle na ile rzeczywistość na zewnątrz pozwalała. Był profesor Waldman - fizyk, niezapomniany Bencyjon Rapaport, człowiek o gołęmb sercu i głębokiej wiedzy, znakomity znawca Tanachu. Głódował już w tym okresie z rodziną. Ale stawiał się codziennie w swym wytartym brązowym garniturze na lekcje i pięknie wykladał. Był uciekinier z Łodzi chyba, profesor Heiman, — germanista, człowiek głębokiej wiedzy. Został potem zastrzelony w 1943 roku w Płaszowie, przyłapany po aryjskiej stronie wraz z żoną. Zjawił się z niewoli Feldhorn. Żona z córką były we Lwowie i było wiadomo, że będzie próbował do nich przedostać się. Narazie byliśmy szczęśliwi. Zdawało się przecież, że niedawna przeszłość na wieki się od nas odsunęła a tu wróciła chociaż w zniekształconej formie. Dalej byliśmy coś warci – byliśmy młodzieżą chodzącą do szkoły. I było u kogo szukać wyjaśnień bo przecież wychowawcy na wszystko winni znaleźć wytłumaczenie. Zapamiętałam szczególnie ostatni, przepiękny wykład Feldhorna o zamieraniu i przemijaniu systemów politycznych i odradzaniu się na ich gruzach ideologii absolutnie przeciwnych w swych założeniach. Wykładowca

usiłował wzbudzić w nas nadzieję, że dożyjemy czasów kiedy znikną wszelkie antagonizmy między ludźmi by dać początek nowej epoce kiedy to "alle Menschen werden Brüder", i że w końcu Człowiek odniesie zwycięstwo nad Bestią. Czy myśleli o tym ci z nas, którzy zginęli potem w akcjach i komorach gazowych? Przeżyło nas z tej grupy niewielu. Wiem tylko, że odniosłam się do tych złotych myśli z całym zapamiętaniem zakochanej szesnastolatki i że wszędzie we wszystkich późniejszych sytuacjach szukałam Człowieka. Ale raj trwał krótko. Ukochany wykładowca wyjechał do rodziny do Lwowa. Po wojnie dowiedzieliśmy się że wrócił i ukrywał się z żoną na aryjskich papierach w Swoszowicach, koło Krakowa. Zginęli wskutek donosu. Ich córka przeżyła. W parę dni potem w czasie lekcji weszli Niemcy do szkoły i nakazali natychmiastowe jej zamknięcie. Okazało się, że po prostu o nas zapomnieli bo polskie szkoły były już dawno zamknięte. Zorganizowano potem tajne komplety i w przerwach między łapankami wymakaliśmy się z domów na naukę – do wysiedlenia z Krakowa. Wiadomości od ojca ze Lwowa były raczej pomyślne. Pracował w spółdzielni "Centrosojuz", wynajął pokój przy sympatycznej rodzinie. Martwił się tylko o nas, tęsknił, zarejestrował się na powrót do domu. Bardzo chcieliśmy go zobaczyć a nie byliśmy pewne czy to dobry pomysł. Męża naszej kuzynki w Podgórzu zastrzelili Niemcy na drugi dzień po wkroczeniu. Wokół łapanek – brano mężczyzn do przymusowych prac. Narazie jeszcze pozwalono im wracać na noc do domów. W międzyczasie wyszło zarządzenie, że "wszystkie osoby pochodzenia żydowskiego mają nosić na prawym ramieniu opaskę z gwiazdą Dawida. Kraków został stolicą t. zw. Generalnej Guberni, resztę terytorium Polski nie zajętych przez Rosjan wcielono do Trzeciej Rzeszy. Pojawili się uciekinierzy z tobołkami na plecach. Uruchomiono kuchnię przy Gminie Żydowskiej, gdzie rozdzielano uchodźcom gorącą zupę i trochę prowiantu. Do nas do domu przychodził taki uchodźca na obiady – potem wyjechał gdzieś z całą grupą a raczej wysłano go transportem w nieznane... Zbliżała się ostra zima 1940 roku. Brak opału, trudności żywnościowe, zaczęły dawać się we znaki. Z czego żyliśmy w tym okresie? Sama nie wiem. Pamiętam, że udało nam się sprzedać większą część mebli i w mieszkaniu zrobiło się przestronnie. Mama sprzedawała srebrne nakrycia z domu. Sąsiad z parteru, niejaki pan Orłowski, zaczął nagle mówić łamaną niemiecką /podpisał "volksliste"/ i krzywym okiem patrzył na sąsiadów Żydów. Pamiętam że przed Bożym Narodzeniem mama podarowała mu srebrną paterę — prezent od dzieci z okazji srebrnego wesela by nam przestał dokuczać. A przyjaźnie dotychczas i zawsze przymilnie uśmiechnięta stróżka zaczęła też regularnie "pożyczać" pod jakimś pretekstem, pieniądze. Nad nami mieszkała nauczycielka pani Janina Podrazik, która często wstępowała do nas, dodawała otuchy i choć, jak mówiono dawniej – antysemitka, w tych czasach demonstrowała wyraźnie swoją przyjaźń. Zapraszała mnie często do siebie, pożyczała książki – miała dużo polskiej i francuskiej literatury. Zacztywałam się wówczas bez pamięci byle się oderwać od rzeczywistości. Poznałam u niej emerytowanego nauczyciela niejakiego pana Wirskiego który dał mi swój adres przy ulicy Krzyża 11 i proponował "w razie czego" swój dom gdzie nas przechowa. Narazie nie dopuszczało się złych myśli do siebie. Sklepy i firmy należące do Żydów objęli komisarze-Niemcy, albo byli współpracownicy pochodzenia niemieckiego, którzy z miejsca opowiedzieli się za okupantem. W firmie, w której pracował mój ojciec objął kierownictwo dawny jego kolega niejaki pan Schiller. Nie chciał mamie wypłacić pieniędzy które się należały — zdaje się że ją wyrzucił, bo wróciła bardzo zdenerwowana po rozmowie z nim. Dawniej był z nami w dobrych stosunkach, dla mnie miał zawsze cukierki i miły uśmiech. Niektórzy Niemcy-komisarze wypłacali rodzinom pracowników przez pewien okres skromne sumy. Pewnego razu moja kuzynka Władzia i jej mąż Polak zaproponowali mi spotkanie w mieście i pójście razem do kina. Chcieli mnie po prostu trochę wyciągnąć z domu. Wyszłam do śródmieścia — oczywiście bez opaski — z dużym strachem. W razie "wpadki" groziło pobicie i aresztowanie. Bałam się trochę po drodze t. zw. "granatowych policjantów", którzy mogli mnie rozpoznać. Mówiono też o donosicielach-Żydach współpracujących z Niemcami. Ale jakoś nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Spotkaliśmy się, poszliśmy do kina "Świt" odwiedzanego przeważnie przez żołnierzy niemieckich. Dawano "Turandot" po niemiecku. Przed filmem wyświetlono dodatek z którego zapamiętałam jeden odcinek: po alejach — chyba warszawskich, — spaceruje młody człowiek w podartej marynarce. Chce zapalić papierosa, ale pudełko w kieszeni okazuje się puste. Chce kupić w najbliższym kiosku papierosy — ale nie ma pieniędzy. Patrzy zazdrosnym spojrzeniem wygłodzonego człowieka na jakieś dziecko ogryzające skórę od chleba. Zbliża się powoli, krokiem zmęczonego człowieka do ławki. Na ławce siedzi kobieta z pieskiem. Kobieta wyjmując z dużej torby ciastka i karmi nimi pieska. W pewnym momencie widać jej twarz: orli nos, grube wargi — typowa żydowska twarz z karykatury. Sięga po jeszcze jedno ciastko i wtedy ukazuje się na jej prawym ramieniu opaska z gwiazdą. Było to moje pierwsze zetknięcie oko w oko z perfidią niemieckiej propagandy. Wróciłam do domu a tam w międzyczasie była rewizja — skonfiskowano nam radio; telefon odebrano nam już przedtem. W tym czasie zaczęto już wysyłać ludzi bez zawodów do obozów pracy. Młodzież zaczęto zatrudniać w różnych zakładach usługowych dla Niemców. Gmina Żydowska uzyskała zezwolenie na zorganizowanie przy szpitalu żydowskim przy ulicy Skawińskiej przyspieszonego kursu dla pielęgniarek. Chciano po prostu zapewnić młodym dziewczętom jakiś zawód a właściwie świadectwo by je uchronić przed łapankami. Zapisalam się na ten kurs. Wykładali nam bardzo dobrzy lekarze: dr. Aleksandrowicz, Blasberg i inni. Kurs był na wysokim poziomie. Ukończenie kursu i świadectwo rzeczywiście ocaliło mi potem życie, zdopingowało do

zdobycia zawodu dyplomowanej pielęgniarki po wojnie. Kiedy po latach przyjechałam do Kraju dowiedziałam się, że kilka dziewcząt z tego kursu przeżyło i nadal pracuje w tym przypadkowo obranym zawodzie. Niedługo potem, chyba latem 1940, zaczęto już stopniowo wysiedlać Żydów z Krakowa. W międzyczasie przyszła kartka z Samarkandy od ojca – dokąd go Rosjanie wywieźli i od najstarszej siostry z Jozskar Ola. Martwiłyśmy się o nich, wiedziałyśmy że głodują. W tym okresie Niemcy zdobyli Francję, jak triumfalnie donosiły o tym niemieckie gazety i polskie szmatławce. Trzeba było opuścić Kraków do jakiegoś określonego terminu. Brat mamy wynajął dla nas, t. zn. mamy, mojej siostry, jej męża i mnie, pokoik w willi należącej do nauczyciela wiejskiego w Borku. W tym samym czasie ogłoszono przymusowe badanie młodych dziewcząt zorganizowane przez sekcję niemieckich antropologów. Badania odbywały się w jakimś biurze według nazwisk, w alfabetycznym porządku. Miały na celu udowodnienie niższości rasy żydowskiej w porównaniu z innymi rasami. Różne wieści dobiegały do nas o przebiegu tych badań przeprowadzanych przez niemieckich lekarzy. Podobno badano młode dziewczęta ginekologicznie i było kilka wypadków brutalnej defloracji. Kto nie stawiał się na badanie – bywał doprowadzany przez policję. Moja kolej wypadła w dniu kiedy wysiedlano nas z Krakowa. Zostałam mamę i siostrę przy pakowaniu naszych rzeczy i wyszłam z domu. Przy pożegnaniu z mamą wyczułam jej wielką obawę o mój los i strach o przebieg badania. Odczuła to boleśniej niż fakt, że musi opuścić swój dom, w którym przeżyła blisko trzydzieści lat swego życia. Udałam się pod wskazany adres. W sieni czekała już grupa przerażonych dziewcząt. Wzywano nas po sześć. Ze biurkami siedziały urzędniczki – Polki i wypełniały jakieś kwestionariusze. Gdy doszła moja kolej zadano mi szereg pytań, nie wszystkie dokładnie pamiętam. Między innymi urzędniczka spytała: chodzić i mówić zaczęła pani późno, prawda? Nie pamiętam już co odpowiedziałam na to pytanie, ale gdy doszło do czytania i pisania stanowczo nie dałam się przekonać że byłam opóźniona pod tym względem, bo pamiętałam, że dzięki starszym siostronom umiałam już czytać zanim poszłam do szkoły. Fotem kazano nam się rozebrać za jakimś przepierzeniem i wejść nago do sąsiedniego pomieszczenia. Stanęłyśmy równo, w rzędzie. Podeszedł do nas ktoś w białym fartuchu, pewnie lekarz. Pamiętam, że był niski, pękaty i łysy i miał małe świdrujące oczy i mięsiste wargi. Drżałyśmy z zimna i wstydu. W pewnym momencie zauważyłam niemal zwierzęcy wyraz jego oczu i twarzy. Odmierzał różne części naszego ciała jakimiś przyrządami podobnymi do cyrkli czy ekierok. Zdaje się, że nie był zachwycony wynikami pomiarów naszych czaszek – był wyraźnie w złym humorze – coś się chyba nie zgadzało z jego teorią. Myślę, że dlatego, iż byłam najwyższą z całej grupy, wzrok jego zatrzymał się na mnie. Wskazał mi gestem jakieś przepierzenie – gdzie kazał mi się położyć z rękami pod głową na kozetce nakrytej białą ceratą. Zaczął mnie badać i w tym momencie zaczęłam głośno krzyczeć ze strachu i bólu. Kazał mi wyjść. Ubrałam się szybko i wybiegłam odprowadzona zaciekawionymi spojrzeniami urzędniczek. Przywlokłam się do domu płacząc z upokorzenia i wstydu. Mama rozplakała się razem ze mną. Zdaje się, że wtedy widziałam po raz pierwszy moją mamę płaczącą. Trzeba było się spieszyć. Opuściliśmy mieszkanie, gdzie spędziłyśmy z siostrą nasze dzieciństwo, w którym mama przeżyła swoje małżeństwo i wychowała troje dzieci. Wsiadłyśmy z paczkami i tobołkami do przyczepy tramwajowej "fuer Juden". Na ulicy i w tramwaju nikt na nas nie zwrócił uwagi. Otoczenie już przywykło do widoku wędrujących z resztkami dobytku Żydów. Nasi nowi gospodarze, państwo Saganowie, przyjęli nas bardzo serdecznie. Mieli dwoje małych dzieci, służącą Marysię, miły domek w ogrodzie i miniaturowe gospodarstwo wiejskie. Dostaliśmy duży pokój który pan Sagan przedzielił na dwie części: jedną zajęła, moja siostra z mężem, drugą ja z mamą. Niedaleko, za torem kolejowym mieszkała jakaś polska rodzina, która podpisała podobno folkslistę". Zaangażowano mnie tam w charakterze nauczycielki niemieckiego, więc trochę zarabiałam. Ale z czego właściwie żyliśmy w tym okresie nie pamiętam dokładnie. Wujek, który mieszkał z rodziną w sąsiednim domku, dostawał trochę żywności ze dworu, w którym jako dzierżawca zostawił w 1939 roku olbrzymie zapasy i pełne spichlerze. Chodził tam ukradkiem i tylko wieczorami. We dworze goszczonj Niemców. Chleb był racjonowany na kartki, czasem dawano marmoladę. Zdaje się, że już wtedy zaczęliśmy bywać głodni. Siostra mojej mamy żyjąca na polskich papierach, wynajęła obszerną willę w Tenczynku pod Krzeszowicami, w której w swej naiwności planowała urządzenie azylu dla całej rodziny. Wyrobiła też dla wszystkich katolickie metryki urodzenia i fałszywe dokumenty. Posyłała nam czasem trochę pieniędzy. Dowiedziała się od mamy, że raptownie urosłam i schudłam, więc zaproponowała mi przyjazd do niej na "podkarmienie". Zaprosiła także moją kuzynkę Marysię Goldman która przebywała wraz ze swą matką w gecie w Kalwarii. Punktem zbornym było mieszkanie Władzi w Krakowie przy ulicy Chodkiewicza. Oczywiście trzeba było zdjąć opaskę z gwiazdą. Dojechałam ze strachem do Krakowa, bo w Borku mnie znali a Kraków roił się od szpiclów. Dojechałam jednak szczęśliwie. Marysia już czekała. Dostałyśmy złote łańcuszki z medalionikami i wizerunkiem Matki Boskiej i po doskonałym obiedzie wyruszyliśmy pod opieką męża Władzi do Tenczynka. Ma dworcu krakowskim było rojno i gwarno. Handlarze, przekupki i pełno żołnierzy niemieckich. Wsiadliśmy do pociągu, którego stacja docelowa wymieniona przez głośnik przeraziła nas: Oświęcim. Krzeszowice to piękne, malowniczo położone miasteczko. Pełno zieleni, lasy – istna sielanka. Dojechalśmy autobusem do Tenczynka i w autobusie przyglądano się nam z ciekawością. Nasz kuzyn uspokoił nas szeptem, że to zwykła prowincjonalna reakcja na widok obcych twarzy. Ciocia "Maria" przywitała nas serdecznie i oddała

mnie i Marysi najpiękniejszy pokój z werandą. Spędziłyśmy tam nasze ostatnie, szczęśliwe dni młodości. Opalałyśmy się w pięknym ogrodzie, zachowywałyśmy się w miarę swobodnie i naturalnie. Ale nie było nam danym przeżyć w zupełnej bez trosce tego urlopu. Okazało się, że nie można się oderwać od rzeczywistości. Za parkanem był domek ogrodnika, jakby administratora tych terenów, niejakiego Drabika. On i jego żona przyglądali się nam nieufnie i często instynktownie wyczuwałyśmy ich obecność za krzakami: podsłuchiwali nasze rozmowy. Miałymy się oczywiście na baczności. Nigdy jednak nie było wiadomo co może człowieka zdradzić w tych czasach – być dowodem jego żydowskiego pochodzenia. Na nasze nieszczęście niedaleko, w sąsiedniej willi mieszkała jakaś niemiecka baronowa i bardzo sobie upodobała nasze towarzystwo, zwłaszcza, że znalazła wreszcie "in diesem wildem Lande" kogoś z kim się mogła swobodnie porozumieć w swym ojczystym języku. Rez po jej odejściu stanął przy nas Drabik i spytał, skąd właściwie znamy tak dobrze język niemiecki. Nie chcąc by nas podejrzewał o "folksdojczostwo" w swej lekkomyślnej naiwności pochwaliliśmy się, że znamy nie tylko niemiecki ale ja znam francuski a Marysia też angielski. (W związku z "numerus clausus" a potem "nullus" na większości fakultetów Uniwersytetu Jagiellońskiego rodzice przygotowywali nas do studiów zagranicą...) Nie miałyśmy pojęcia, że to nas zdradza. Przy obiedzie opowiedziałyśmy cioci tę scenę. Zrazu z lekka się zaniepokoiła ale potem nas uspokoiła, że Drabik jest tak solidnie przez nią opłacany, że nie popełni żadnego głupstwa, które by go pozbawiło źródła dochodów. W gruncie rzeczy to chyba porządny człowiek, twierdziła, – tak sobie pytał przez normalną, ludzką ciekawość wieśniaka nie przywykłego do takiego otoczenia. Niestety, jak się później okazało, za tą wiarę w porządność ludzką, zapłaciła życiem. Nie uświadomiła sobie, że chciwość ludzka jest bezgraniczna i nienasycona... Narazie nie przejmowałyśmy się tym zbyt. W pewną piękną czerwcową niedzielę wybraliśmy się na wycieczkę by zwiedzić ruiny pobliskiego zamku w Rudnie. Piękna panorama, z góry widać było pobliską wioskę Zalesie na pograniczu Guberni i Reichu, czyli terenów wcielonych przez Niemców do Trzeciej Rzeszy. Z daleka słychać było jakieś strzały. Było to 22 czerwca 1941 roku. Jak się okazało rozpoczęła się ofensywa na Rosję. Postanowiłyśmy z Marysią nazajutrz wracać, zaniepokojone o los naszych matek. Wiedziałyśmy już z doświadczenia, że wszelkie zmiany polityczne z miejsca odbijają się na losach Żydów. Obladowane żywnością, owocami, wróciliśmy do naszych domów. Ciotki więcej nie widziałam... Do jej tragicznej historii jeszcze powrócę – właściwie pamięć o niej stanowiła dla mnie między innymi bodziec do napisania tych wspomnień. W Borku mama bardzo się ucieszyła z mojego powrotu – niepokoiła się z powodu tej wyprawy bez opaski. Uważała jednak swą siostrę za lekkomyślną i nieco szarżującą. Mówiono już wtedy, że część Podgórza przeznaczono na getto i że mają wszystkich żydów z Krakowa i okolicy do niego zesłać. Moje nauczanie niemieckiego się skończyło. Sąsiedzi nie życzyli sobie więcej moich odwiedzin. Jeździli do jakiegoś germanistycznego ośrodka w Krakowie – nie byłam im więcej potrzebna. Głód zaczął nam się dawać we znaki. Mój szwagier miał gdzieś w Krakowie trochę ukrytego towaru ze sklepu rodziców. Jeździł z narażeniem życia do miasta – czasami udawało mu się coś sprzedać. Mąż Władzi pracował wtedy w fabryce sody "Solway" w Borku i Władzia nas nieraz odwiedzała i przekazywała trochę pieniędzy od swojej matki. Ma kartki dostawaliśmy gliniasty chleb i marmoladę z buraków - donosiłam ten Chleb do domu mocno obskubany po drodze. W tym okresie w fabryce sody były aresztowania. Zabrano męża Władzi i tamtejszego naczelnego inżyniera, jako podejrzanych o udział w konspiracji i redagowanie antynazistowskiej gazetki podziemnej. Osadzono ich w więzieniu na Montelupich. Bardzo nam żal było Władzi i jej męża, promiennego i zawsze uśmiechniętego chłopca, który tak serdecznie przylgnął do rodziny i zawsze każdemu starał się pomóc. Ciotka przyjechała z Tenczynka do Krakowa i z narażeniem życia próbowała zięcia wykupić. Niestety, bez rezultatu. Bała się też o córkę której pochodzenie mogło wyjść na jaw w toku śledztwa. Ale rację miał Remarque w którejś ze swych książek, że mimo tak rozwiniętej aparatury śledczej: podsłuchów, donosów – Cestapo nie wiedziało więcej niż się im samemu powiedziało. Władka "wpadła" dwa lata później. Jako-tako przebidowaliśmy tę ostrą zimę 1941/42, w naszym pokoiku ogrzewanym wiecznie dymiącą "kozą", jak nazywano wówczas żelazne piecyki. Opału dostarczali nam państwo Saganowie, – nie brali za to pieniędzy. Mimo że było im bardzo ciężko, pomagali nam jak mogli. Cdzieś pod koniec 1941 roku odwiedził nas przyjaciel rodziny doktor Drozd i dał swój adres w Krakowie przy ulicy Batorego. Był to akt wielkiej odwagi i dowód szlachetności z jego strony, gdyż za pomoc Żydom groziła śmierć całych rodzin. Doktor Drozd usiłował podnieść nas na duchu, przyniósł jakiś numer znanej szmatławej gazety "Krakauer Zeitung", która donosiła wprawdzie o olbrzymich zwycięstwach dzielnej armii niemieckiej na froncie, lecz w związku z frontem wschodnim była krótka notatka o "planmaessiger Rueckzug" z pod Rostowa. Ucieszyliśmy się, że to może początek końca... Radość, jak się okazało, była przedwczesna. Wizyta doktora Drozda miała jednak zbawienny skutek na dalsze dzieje naszej rodziny. W lutym lub marcu 1942 roku wyszło rozporządzenie na mocy którego wszyscy Żydzi z okolic Krakowa mieli przejść do getta. Przeczuwaliśmy już wtedy że zacznie się okres zagłady. Dużo znajomych wystarało się o aryjskie papiery i uciekło. Nie wszystkim starczyło odwagi. Potem dochodziły do nas wiadomości, że tego czy innego ze znajomych rozpoznano gdzieś na ulicy i zastrzelono. W oznaczonym terminie załadowaliśmy resztki mienia i żegnani serdecznie przez naszych gospodarzy powędrowaliśmy do getta. Ulica w getcie przypominała mrowisko. Nowoprzybyli tłoczyli się przed Judenratem

przy którym był urząd kwaterunkowy i przydzielano mieszkania. Nasza cztero-osobowa rodzina dostała pokój w mieszkaniu w którym jeden pokój zajmował jakiś krawiec z żoną i synkiem /zginęli potem/ a drugi starsze małżeństwo z dwoma córkami. Kuchnia była wspólna - zaczęły się pierwsze konflikty, zwłaszcza że małżeństwo z córkami musiało dla nas opróżnić jeden pokój. Początkowo nie chcieli nas w ogóle wpuścić i tak staliśmy na ulicy bezradni do zmroku na ulicy. A w getcie była godzina policyjna, zdaje się że po 7-mej nie wolno było wychodzić. Wpuszczono nas potem na interwencję "Ordnungsdiensta" czyli żydowskiego policjanta. Myślę, że ta instytucja żydowskiej służby porządkowej na usługach Niemców, wymaga osobnego studium, dlatego nie będę się nad nią długo zatrzymywać. Jej funkcja i rola na tle tego okresu są chyba znane. Wspomnę tylko, że powoływano do niej różnych ludzi - niektórzy zgłaszali się ochotniczo. Chyba wszyscy, podejmując się tej roli mieli na celu chronienie swej skóry i swych rodzin. Rekrutowali się z różnych środowisk. Byli między nimi ludzie prości i byli z akademickim wykształceniem, były szumowiny, byli ludzie przyzwoi i szubrawcy. U wielu z nich poczucie władzy wyzwoiliło różne kompleksy i sadystyczne instynkty. Ci nader chętnie robili użytek ze swych pałek. Byli tacy, którzy z narażeniem życia usiłowali pomóc, i tacy, którzy po prostu wypełniali rozkazy. Wtedy po raz pierwszy zetknęliśmy się z żydowskim policjantem, choć sam fakt( że trzeba było korzystać z jego pomocy nie był przyjemny. Po krótkim czasie i my i krawiec wyprowadziliśmy się stamtąd, gdyż ta pozostała rodzina chorowała na otwartą gruźlicę i mama się o mnie bała. Przydzielono nam w mieszkaniu dentysty przy ul. Rękawka przechodni pokój, z którego przechodziło się do gabinetu doktora, dawną poczekalnię pacjentów. Moja siostra z mężem spali w gabinecie. W ciągu dnia byliśmy razem. Od przechodzących pacjentów oddzielał nas jakiś zaimprovizowany naprędce parawan. . Aby żyć w getcie i dostać kartki żywnościowe trzeba było się zarejestrować w "Arbeitsamcie". W urzędzie tym pracowali Niemcy i Żydzi. Jedną z urzędniczek, Niemka, okazała się znajomą mamy z przed wojny. Nazywała się Knosala i była prywatną pielęgniarką gdzieś w 1936/7 roku u naszej krewnej. Moja siostra dostała pracę biurową w Judenracie, szwagra też zatrudniono przy jakichś pomocniczych pracach dla Judenratu. Ja dostałam pracę w szczotkarni, gdzie wyrabiano szczotki dla armii niemieckiej. Praca była płatna, kto był zręczny, wyrabiał większą normę, zarabiał lepiej. Ja musiał w każdym razie uczyć się tego zawodu od początku. Moje współpracownice odnosiły się do mnie różnie. Niektóre patrzyły ze złośliwą uciechą na me niezdarne początki – inne uczyły mnie cierpliwie na koszt swego czasu i zarobku. Po paru tygodniach i ja zaczęłam w piątki dostawać swoją wypłatę. Jedną z nadzorczyń w pracy była siostra komendanta Ordnungsdienstu. Przychodziła do nas wytwornie ubrana w futrzany płaszcz i przyglądała się naszej pracy zajądając pomarańcze. Życie z rodziną dentysty układało się znośnie. Mieli miłego synka, Adasia. Mieszkała z nimi też ich krewna a moja koleżanka z kursu pielęgniarskiego Halinka Haber. /W parę tygodni później, na wiadomość, że rodziców zastrzelono, Halinka usiłowała popełnić samobójstwo przyniesionym ze szpitala luminalem. Odratowano ją wtedy, przeżyła okupację po aryjskiej stronie u wujka żonatego z Niemką; zmarła wkrótce po wyzwoleniu wskutek ataku serca mając 21 lat./ Baliśmy się bardzo o mamę gdyż osobom w jej wieku nie dawano już przydziału pracy, ale pani Knossala przybiła jej pieczętkę na dowodzie osobistym i to ją narazie chroniło. Tylko szwagier wracał ze swej pracy bardzo przygnębiony i milczący. Raz opowiedział nam w tajemniczyżse zawieźli go wraz z innymi Żydami do jakiejś wioski pod Krakowem gdzie otrzymali rozkaz wieszania na oczach wszystkich spędzonych z domów ludzi, kilku Polaków oskarżonych o sabotaż. Wtedy przez kordon Niemców przedarła się żona jednego ze skazańców i błagała komendanta-Niemca o darowanie mężowi życia. Niemiec odpowiedział: przecież ja go nie wiem, poproś Żydów!.. Było w getcie dość bogate życie towarzyskie. Młodzież zbierała się, uczyła. U mojej przyjaciółki Franki Mond w mieszkaniu był jeszcze jakimś cudem przemycony fortepian. Zbieraliśmy się na audycje muzyczne - grała młoda, zdolna pianistka Bianka Pilz /nie wiem czy przeżyła/. Chłopcy zdobyli skądś patefon i płyty i zasłuchani w muzykę próbowaliśmy wszelkimi siłami oderwać się od rzeczywistości i strachu przed przyszłością. Organizowały się kółka literackie, zbierano się na różnojęzyczne konwersacje. Jak innym religia, tak nam wiara w nieśmiertelność wartości humanistycznych czy artystycznych dawała pewne poczucie przewagi nad sytuacją, dała siłę przetrwania. Myślę, że tylko jeszcze wtedy, potem nastąpił okres "odczłowieczenia"; decydował tylko instynkt samozachowawczy i radość z każdej przetrwanej godziny. /Franka z matką przeżyły wojnę i obóz, zmarły na tyfus już po wyzwoleniu./ Wystarałam się o przepustkę poza getto i wybrałam się do Władki. Zaraz po przekroczeniu bramy zdjęłam opaskę i starałam się zachować swobodnie, między innymi, nie żyjącymi w zamknięciu ludźmi. Dotarłam do niej o zmroku. Okna w mieszkaniu były zaciemnione czarnym papierem – w Krakowie obowiązywał już "Verdunklung". Przegadałyśmy noc aż do świtu a o czwartej nad ranem Władka zaczęła się zbierać na codzienną wycieczkę pod więzienie na Montelupich. Przy porannym wietrzeniu celi - kiedy więźniowie w czasie gimnastyki zbliżali się do otwartego okna - mogła przez parę sekund zobaczyć swego męża. Wróciła zapłakana. Od żony innego więźnia dowiedziała się, że mają ich wkrótce przewieźć do Oświęcimia. Widziała go chyba wtedy po raz ostatni. Niedługo potem rzeczywiście przewieziono go do Oświęcimia, skąd nie wrócił. Przepustka się kończyła, musiałam wrócić. Przebyłam jakoś całą trasę przez nikogo nie zaczepianą, aż blisko bramy getta zatrzymali mnie granatowi policjanci polscy jeszcze nim zdążyłam nałożyć opaskę. Siedzieli przy jakimś stoliku i obserwowali przechodniów. Zagrozili mi

odprowadzeniem na posterunek żandarmerii niemieckiej. Miałam trochę pieniędzy od Władki. Niby niechcąc położyłam je na stoliku. Puścili mnie. W getcie opowiadano, że zaczęto już budowę baraków dla nas w Płaszowie - i przebąkiwano, że przedtem będą jeszcze czystki i selekcje. Szczotkarnię zamknięto, nie miałam stałego przydziału pracy. Przydzielono mnie do "Ordnungskommando" i wysyłano codziennie gdzie indziej. Raz wyszłam wraz z grupą ludzi poza getto do pracy przy oczyszczaniu ulic, niedaleko naszego dawnego mieszkania. Zostawiłam gdzieś łopatę w bezpiecznym miejscu i pognąłam do "naszego" domu. Zapukałam do drzwi naszej byłej sąsiadki pani Janiny. Bardzo serdecznie mnie przyjęła, poczęstowała gorącą herbatą i kromką chleba. Ostrzegła mnie, bym uważała - nasze mieszkanie zajął "granatowy". Raz wysłano mnie na "Luftwaffe" przy ulicy Kopernika do sprzątan. Pamiętam, że przechodziłam jakimś korytarzem, gdzie stał na warcie jakiś żołnierz z karabinem i ilekroć się zbliżałam szeptał mi do ucha: Die Unschuldigen muessen fuer die Schuldigen leiden." Dostałam przydział do pracy przy zbrojowni przy ulicy Rakowieckiej. Placówka nazywała się "Feldzeugdienststelle". Wychodziliśmy z całą grupą o świcie do pracy. Zbrojownię administrował Wehrmacht. Żołnierz odnosił się do nas dobrze. Dwie koleżanki - ku zazdrości pracujących tam Polek - dostały pracę biurową. Umiały pisać na maszynie, jedna z nich знаła stenografię niemiecką. Pracowali tam też Polacy, mężczyźni i kobiety. Była tam grupa "Baudienst" w mundurach. Byli to młodzi chłopcy, Polacy. Ich komendant nazywał się zdaje się Franek. Kochał się w Żydówce, Geni Sternagst i bardzo chciał ją wyciągnąć z getta i uratować, ale jej rodzice nie pozwolili córce "iść do goja". Spotkałam go po wojnie. Opowiadał z wielkim bólem, że Genia zginęła gdzieś w obozie, i gdyby nie posłuchała wtedy rodziców, przeżyłaby na pewno. Wierzyłam mu - to był bardzo dobry i porządny chłopak. Pamiętałam, że nie pozwalał "Baudienstom" przezywać nas od "żydowic" ani nawet "żydówcezek". Końcem maja i początkiem czerwca rozpoczęły się akcje wysiedleńcze z getta. Niemcy otaczali w nocy getto żandarmerią i oddziałami SS i wysyłali "ordnungsdienstów" do mieszkań, by wyciągali ludzi przeznaczonych do wysyłki. Na ulicach słychać było strzały i krzyki. Brano tych, którzy nie mieli pieczętek na "Ausweise". Po paru dniach ogłoszono rejestrację na otrzymanie "niebieskich kartek" które miały chronić od wysyłki. Mama kartki nie dostała. Knosiła zażądała pieniędzy a myśmy pieniędzy nie mieli i nie mogli ich zdobyć. Getto było zamknięte. W nocy, trzeciej skończyła się akcja, spaliliśmy bardzo źle. Mama położyła się w ubraniu, zdrzemnęła się na chwilę. Potem opowiadała, że przyśnił się jej dziadek: znajdował się pośrodku jakiegoś stawu i wzywał ją do siebie... Rano, w upalny dzień czerwcowy, wyszłam z domu by szukać pomocy w Judenracie lub u jakiegoś Ordnungsdiensta. Wszędzie był popłoch i zdenerwowanie - nikt nie chciał ze mną rozmawiać. W drodze powrotnej spotkałam kolegę który mi powiedział, że widział jak mamę prowadzono na "Umschlagsplatz", do "Optimy" czyli placu fabrycznego przy tej dawnej fabryce czekolady należącej do naszych krewnych. Nie chciano mnie tam wpuścić, ale zdobyłam gdzieś fartuch pielęgniarski i przedostałam się na teren fabryki gdzie już były tłumy skazańców. Odnalazłam mamę, przełękła się - że zechcę pójść z nią razem. Kazała mi odejść. Było tam dużo kobiet z dziećmi w wózkach. Zobaczyłam też moje koleżanki, jak w ostatniej chwili się przedarły i przyłączyły do rodziców: Giza Steiner, Marylka Becker, Renia Rosenberg i dużo innych. Ja nie poszłam z moją mamą - świadomość tego będzie mi towarzyszyła do końca moich dni... Do pomocy w przeprowadzeniu tej akcji Niemcy zmobilizowali "Baudienstów". Dowiedzieliśmy się w dzień później że jakiś Niemiec pojechał w ślad za załadowanymi do bydłych wagonów ludźmi, bo chciał ratować rodziców dziewczyny w której się kochał, Maryli F. U kresu drogi - nie wiem gdzie to było, - natrafił na ogrodzenie z drutów kolczastych i musiał wrócić. Po paru dniach spotkany na ulicy kolega powiedział mi, że gdzieś u kogoś w piwnicy jest odbiornik radiowy i że Londyn nadawał, że w jakimś obozie na Wschodzie Polski stracono transport Żydów z Krakowa i okolic. Więc wolny świat wiedział i nie reagował... Przyszła do nas kartka, świstek papieru wyrzucony przez okno wagonu w Rzeszowie, gdzie pociąg stanął. Jakaś litościwa ręka go podniosła i przesłała pod wskazany adres. "W Rzeszowie nie dopuszczono do transportu wody - jadę dalej. Błogosławię was moje dzieci." Taka była treść otrzymanej kartki... Po tych akcjach getto okrojono ograniczając je do paru tylko ulic. Trzeba było się przenieść, gdyż ulica Rękawki nie należała więcej do getta. Nie pamiętam gdzie zamieszkała siostra ze szwagrem. Dla mnie znalazło się łóżko w obszernej kuchni w której mieszkał już mój wujek z żoną, córeczką i siostrzenicą żony. Nazajutrz po akcji zebraliśmy się jak zwykle rano pod Arbeitsamtem bo znowu trzeba było wyjść do pracy "na zbrojownię". Nasza grupa była zmniejszona, widocznie część ludzi poszła z rodzicami do transportu. Pozostali wszyscy płakali. Każdy stracił kogoś z najbliższej rodziny. W zbrojowni; Niemcy już wiedzieli co się stało. Przywieziono tam w tym okresie jeńców rosyjskich do najcięższych robót; ogoleni do gołej skóry, obszarpani, dosłownie ślaniali się na nogach z głodu i wycieńczenia. Pilnowali ich SS-mani. Traktowani byli nieludzko. Czasami udawało nam się podrzucić im kawałek chleba lub papierosy o które bardzo prosili. Raz przyłapał mnie z koleżanką na tym SS-man z kańczugiem w ręku. Byłoby się to pewnie źle dla nas skończyło, ale żołnierze, właściwi "gospodarze" placówki nie pozwolili nas zbić. Krzyczeli tylko na nas i zabronili zbliżania się do Rosjan. Przenieśli nas potem na inny teren by uniemożliwić nam kontakty z jeńcami. W tym okresie mieliśmy w getcie niespodziewanego gościa. Z narażeniem życia; weszła do getta żona klucznika więziennego z Krzeszowic. Opowiedziała, że nasza ciotka została aresztowana. Przyniosła list od niej - błagała, by ktoś przyjechał do Krzeszowic z jakimkolwiek fikcyjnym zaświadczeniem

czy nakazem, by ciotkę wypuścić. Ona z mężem wezmą na siebie ryzyko, byle była, chociażby podrobiona pieczętka. Ciotka siedzi w celi - oni starają się jak mogą złagodzić warunki bytowania. Niemcy chwilowo o niej zapomnieli, ale jak sobie przypomniała, to będzie kres. Żona klucznika płakała gdy mówiła o tej niezwyklej kobiecie, która tam, we więzieniu, czekając na śmierć, nauczyła ich synka czytać i pisać a ich samych, dozorców więziennych pocieszała, że wojna się skończy niedługo. Niestety, nie znalazł się nikt z rodziny, kto mógłby jej pomóc, choć ona zawsze, w najcięższych warunkach, pomagała wszystkim. Utraciliśmy wtedy wszystkie kontakty ze światem zewnętrznym - nad gettem zawisła groza likwidacji. Oprócz nas, po śmierci mamy bezradnych i zagubionych, byli w getcie jeszcze dwaj jej bracia. Starszy, inżynier Berger, wychodził o świcie z getta wraz z innymi inżynierami i robotnikami do Płaszowa, gdzie budowano baraki. Należał do t.zw. "Bauleitung" razem z inż. Grinbergem i architektem - kobietą Lianą Reiter. Wszyscy byli bici i katowani przez komendanta obozu Goethe /inżynier Reiterównę zastrzelono potem w obozie gdy jakiś barak zawalił się.../ Wracali śmiertelnie zmordowani w nocy. Drugi brat, ten z Borku, z którym mieszkaliśmy, żył w ciągłym strachu o swą 4-letnią córeczkę, której w każdej chwili groziła śmierć. Żona dozorca więziennego odszukała mnie i moją siostrę w Krakowie po wojnie. Dowiedzieliśmy się od niej, że w jakiś miesiąc po jej wizycie w getcie Niemcy przypomnieli sobie o ciotce. Zabrano ją z więzienia i zastrzelono w pobliskim lesie. Dozorca z żoną - Niestety, nie pamiętam ich nazwiska - przechowali u siebie i oddali nam po wojnie list - testament ciotki, przeznaczony dla jej córki Władki. Były tam różne wskazówki natury finansowej, rady dla Władki na dalszą drogę życia, kiedy jej już nie stanie, prośba o kierowanie wychowaniem i opieką nad młodszą córką Jagusią. O swojej sytuacji ciotka pisała tak: "Nie ulega wątpliwości że to wszystko jest dziełem Drabikowej. Jeszcze miała czelność przyjść do mnie do więzienia i zaproponować mi, bym jej dała zaświadczenie dla Niemców że jej sprzedałam meble, a ona za to weźmie Jagę na wychowanie." /Cytuję z pamięci - oryginał znajduje się u Władki w Londynie./ Ta nieprzeciętnej miary kobieta dała dowód wielkiego heroizmu i brawury. Dwaj jej bracia, jeden z nich z żoną i córką przebywali od 1939 roku we Lwowie. W czerwcu 1942 roku, w okresie masowych morderstw połączonych przez Lwowskie Gestapo na tamtejszych Żydach, wynajętym samochodem wraz z przekupionym gestapowcem /nazywał się zdaje – się Gruber/, pojechała do Lwowa i dosłownie w ostatniej chwili wyciągnęła z akcji jednego ze swych braci z rodziną. Przewiozła ich do siebie do Tenczynka. Drugi brat zginął krótko przedtem. Potem, kiedy był donos, wysłała wszystkich do Krakowa - a sama została, mimo, że rodzina błagała by pojechała z nimi. Została, by zlikwidować jakieś jej tylko wiadome sprawy. I wtedy przyjechała żandarmeria. Osadzono ją w krzeszowickim więzieniu gdzie przez parę tygodni czekała na wykonanie egzekucji. Jak już wspomniałam uprzednio, Niestety, nie znalazł się nikt kto mógłby ją z stamtąd wyciągnąć. W tym okresie zachorowałam, dostałam wysokiej gorączki, miałam silny obrzęk gardła, nie mogłam mówić. Wezwano do mnie wieczorem laryngologa - nazywał się, o ile pamiętam, dr. Palenker. Przy oświetleniu ręczną latarką przeciął mi absces w gardle. W krótki czas potem dowiedzieliśmy się że doktor otruił swoją małą córeczkę urodzoną w getcie a sam z żoną popełnili samobójstwo. Wobec zbliżającej się likwidacji getta, nie mając szans na uratowanie dziecka, woleli zginąć razem. W domu gdzie mieszkaliśmy wtedy, mieszkała też rodzina Sonnenschein. Mieli dwóch synów - jeden z nich zrobił, jak na gettowe warunki "karierę" - ożenił się z córką komendanta Ordnungsdienstu Symche Spiry. Było huczne wesele o którym się wiele w getcie mówiło. Niemcy przyrzekli p. Śpirze że wraz z rodziną zostanie, nie przejdzie do obozu. Zastzelono ich wszystkich w jakiś czas po likwidacji getta. Końcem stycznia 1943 roku obóz w Płaszowie był gotowy na przyjęcie więźniów. Odbyła się znowu selekcja - najpierw brano z mieszkań tych wszystkich, którzy nie mieli odpowiednich zaświadczeń pracy. Wywleczono całą rodzinę która zajmowała pokój przy naszej kuchni. Przedtem jeszcze rozstrzelano kilku chłopców, moich kolegów, - aresztowano ich w nocy i rozstrzelano na podwórzu więzienia. Między innymi był Mietek Rozmaryn i nasz kolega z wieczorków muzycznych Poldek Steiner. W lutowy poranek wypędzono nas z mieszkań, kazano się ustawić w grupach według miejsc pracy i maszerować w kierunku Płaszowa. Ustawieni czwórkami przechodziliśmy pod baczynym okiem SS-owców. Słychać było świst pejców i krzyki. Wyciągano z szeregu każdego kto się wydarzał niezbyt zdrowy czy za "stary". Szliśmy grzęznąc w głębokim błocie na górę płaszowską, gdzie przedtem był cmentarz płaszowski - moi dziadkowie byli tam pochowani. Weszliśmy na ten otoczony drutem kolczastym teren. Wokół na górze pełno wieżyczek obserwacyjnych - w każdej z nich strażnik z karabinem gotowym dostrzelał. Na bramie z napisem "Zwangsarbeitslager" była jeszcze jedna selekcja. Mimo tych niemal osobistych rewizji udało się niektórym matkom przemycić do obozu dzieci. To wymagało oczywiście nieludzkiego wysiłku, odwagi i sprytu. Moja dalsza krewna przeniosła dziecko - 4-letniego chłopczyka w dużej, podręcznej torbie. Nie znam ich późniejszych przeżyć ale wojnę przeżyli. Moją małą kuzyneczkę, z którą mieszkaliśmy w getcie też udało się ciotce jakoś przemycić do obozu, dziewczynkę zamordowano potem w maju 1944 roku wraz z innymi dziećmi. Dostałam się do baraku Nr. 53. Było tam kilka rzędów 3-ch piętrowych pryz z siennikami. Było nas w baraku około 70 osób. Niedaleko stały w równym rzędzie latryny, jeszcze nie wykończone, bez dachów i ścian. Załatwiała się więc potrzeby pod gołym niebem, na oczach ludzi. Jedna więźniarka starała się "zasłonić" drugą. W baraku był piecyk żelazny przy którym można było w tajemnicy przed Niemcami ugotować coś. Wiązało się z tym jednak duże ryzyko. Zaczęło się



szorowanie podłogi - Niemcy mieli wejść lada chwila na kontrolę. Wokół baraków było błoto w którym walały się połamane resztki pomników z nagrobków. Co jakiś czas wpadał któryś z ordnungsdiensów z wrzaskiem: Achtung! Stałyśmy wyprężone jak struny przy naszych pryczach - weszło kilku SS-manów a potem sam komendant, górujący nad wszystkimi wzrostem, potężny, wysoki Goeth. Przeliczono nas dokładnie i kazano wyjść na Apelplatz. Tam stali już inni więźniowie. Po jakimś czasie wróciłyśmy do baraków i ostrzeżono nas, że w nocy będą znowu apele. Było zimno – nie rozbierałyśmy się wcale. Nad ranem była pobudka i po apelu, sformowani w grupy, wyszliśmy do swych dawnych placówek pracy. Tak upływały dni. Wracaliśmy o zmroku. Za każdym razem dowiadywaliśmy się że w międzyczasie były egzekucje i zastrzelono różnych więźniów - nikt nigdy nie znał powodu. Raz w mieście, w drodze do pracy, zobaczyłem mego szwagra. Wsunął się niepostrzeżenie w naszą grupę, dał mi pieniądze i kazał mi przy pierwszej okazji uciec i przyjść do doktora Drozda, gdzie są dla mnie przygotowane aryjskie papiery. Potem wysunął się z tłumu i znikł. W tym samym dniu po powrocie z pracy, kazano nam przyjść z całą garderobą pod warsztat malarski, gdzie wymalowano nam żółta farbą płaszcze i ubrania w pasy. Nie można już było uciec nie mając w pobliżu przygotowanego ubrania. W obozie były nowe władze żydowskie, które dbały o dyscyplinę i porządek. Nowy władca, obozowy komendant Ordnungsdienstu, nazywał się Hilowicz. Kręcił się po obozie w otoczeniu Niemców i bił kogo popadło. Z pejczem w ręku kręciła się też w mundurze policjantki jego żona Mańka, o starannie wylakierowanych na czerwono paznokciach i ukarminowanych wargach, zawsze nienagannie wyondulowana. Podobno znana przed wojną wśród kazimierzowskich szumowin, tania prostytutka. Postrachem obozu był też degenerat-sadysta, "odeman" Finkelstein, który lubował się podobno w okładaniu pejczem obnażonych pośladków kobiecych. Policjanci mieszkali z rodzinami osobno – w komfortowych jak na obozowe możliwości warunkach. Wielkim szokiem było dla mnie to, że za narzeczoną czy żonę Finkelsteina uchodziła w obozie jedna z moich dawnych koleżanek której ciepły i gościnny dom, zawsze uśmiechniętą i podejmującą nas serdecznie przysmakami mamą, dobrze pamiętałam. W obozie nie przyznawała się do znajomości ze mną. Błędem byłoby mniemanie, że współpracowali z Niemcami tylko ludzie rekrutujący się ze świata podziemnego, półświatka czy z nizin społecznych. O kilku z naszych kolegów gimnazjalnych mówiono, że żyją na mieście i pomagają wyłapywać ukrywających się Żydów. Bywały też wypadki, kiedy wywodzący się z lumpenproletariatu ludzie, okazywali niespodziewaną odwagę i ofiarność. Wychodziliśmy nadal do pracy w zbrojowni, ale tam warunki się zmieniały. Niemcy byli podenerwowani, wielu z nich odwołano na front - widocznie wschodni, reszta bała się tego panicznie. Powoli zwalniano więźniów z pracy, za co mogła grozić śmierć w obozie. Nie można było żyć w obozie bez przydziału do jakiejś pracy. Mnie narazie pomogło zaświadczenie że jestem sanitariuszką, choć wcale przy tym zawodzie nie pracowałam wówczas. Razu pewnego jeden ze zwolnionych z pracy kolegów, dentysta Moniek Strahl, zwrócił się do mnie z wielką prośbą: zostawił w wieży zegarowej w zbrojowni jakiś pakunek, za którego odnalezienie przez Niemców groziła żonie i jemu natychmiastowa śmierć. Ktoś inny miał mi ten pakunek dostarczyć a ja go miałam przenieść. W tym dniu zredukowano i mnie i trzeba było przejść przez rewizję Gestapo nim się wyszło ze zbrojowni. Miałem ten pakunek ukryty na sobie i jakimś szczęśliwym trafem rewidujący mnie gestapowiec go nie znalazł. Okazało się potem, że były to aryjskie dowody tożsamości z fotografiami jego i żony i mała paczuska z cjankali. Poprosiłam go potem w obozie o trochę cyjanku - odmówił mi. Przypomniał mi to – kiedy spotkaliśmy się po wojnie w Komitecie Żydowskim w Krakowie. Jego żona zginęła. Był to okres ciągłych egzekucji i aresztowań w obozie. Raz, w okresie kiedy wracałam jeszcze z pracy i doszłam do naszego baraku położonego wysoko, usłyszałam strzały. Spotkałam mego znajomego, pana Elsnera, płacującego. Spytałam co się stało - a on gestem kazał mi się odwrócić i spojrzeć w dół. Na dole w nieosłoniętym terenie, można było widzieć biegnące szybko, rozebrane do naga, małe, może 3-ch czy 4-letnie dzieci. Małe, obnażone ciała migotały w słońcu - by zniknąć w jakimś dole. Patem rozlegały się strzały. Widzieliśmy potem olbrzymi buldożer, czyli t.zw. w obozie "bager", jak zasypywał dół piaskiem i widzieliśmy, jak ziemia falowała. Naogół Niemcy "załatwiali" te zbiorowe egzekucje "dyskretniej", ale wtedy, nie wiadomo dlaczego, zburzono jakieś baraki zasłaniające to miejsce i na naszej górze widzieliśmy wszystko. Nie wiem skąd przywieziono te dzieci. Przestałam więc wychodzić za druty do pracy. Kierowano mnie do różnych robót, przy szorowaniu podłóg w barakach, do pralni i t.zw. "suszni" obozowej gdzie suszono obozową bieliznę. Głodowałam wtedy bardzo. Pieniądze dane mi przez szwagra skończyły się. W obozie był jakiś handel. Ludzie którzy wychodzili mieli kontakt z Polakami, przynosili chleb a nawet masło i handlowali tym. Bardzo długo trwało zanim przyzwyczaiłam się do obozowej zupy z sago, gotowanej podobno na końskiej padlinie. W końcu jadłam i to. Kiedy pracowałam w "suszni" z grupą innych kobiet - one potrafiły zorganizować sobie jakieś śniadanka, Nikt nigdy mnie nie poczęstował, wychodziłam więc z baraku. Spotkał mnie raz mój daleki krewny, Aron Sperber. Domyślił się że głoduję i dał mi sto złotych. Potem znaleźli się jednak ludzie którzy mi pomagali lub usiłowali pomóc, ale naogół wstydziłam się korzystać z tego. Kto zna warunki życia obozowego ten wie, jak szybko na gruzach rodziny, mężczyźni po utracie żon i dzieci szukali pocieszenia, uczucia. Wtedy bardzo to potępiałam, dziś, z perspektywy czasu, rozumiem to lepiej. Widocznie potrzebna im była świadomość, że kimś się opiekują - to podnosiło ich poczucie ważności i wartości. Byłam młoda i samotna a to pogorszało moją sytuację. Panowała w obozie



atmosfera swoistego carpe diem. Ludzie parzyli się bez wyboru szukając nawzajem u swych partnerów pociechy i i otuchy, na ile warunki obozowe pozwalały. Jeden z mężczyzn, którego znalazłam z pracy w zbrojowni, Maks Kornhauser, przywdział mundur odemana i wykorzystywał swą pozycję dla pomocy bliźnim. Kiedy razu pewnego kazano mu złapać współwięźnia i dostawić go na miejsce straceń, gonił za nim krzycząc po żydowsku "antlojf"! Oczywiście że uciekiniera nie złapał. Kiedy się dowiedział że głoduję, usiłował wszelkimi siłami mi pomóc - rzekomo nawiązał kontakt z moją rodziną na mieście i przekazywał mi, - jak twierdził, od szwagra, - jakieś drobne sumy, abym mogła kupić sobie w obozie trochę żywności. Była to jedna z nielicznych dłoni, która wyciągnęła się do mnie bezinteresownie. W nocy z 10-go na 11-go listopada 1943 roku, właśnie za udzielenie pomocy koledze, zastrzelili go Niemiec nazwiskiem Pilarczyk. W grupie więźniów która pracowała ze mną w zbrojowni, był też młody prawnik krakowski Lenek Bulwa. Miał niewątpliwe zdolności poetyckie, pisał piękne wiersze, które krążyły między nami. Między innymi pisywał krótkie w fraszki i satyry, ośmieszające Niemców i nasze żydowskie władze. Aresztowano go nagle i rozstrzelano, przypuszczalnie na skutek donosu. Raz wypędzono nas po południu krzykiem i biciem z baraków. Spędzono nas na Apelplatz, ustawiono w czworobok - pośrodku placu stała szubienica. Ordnungsdinści szaleli, bili naoślep, ja też oberwałam pejcem od odemana Kenera. Nikt z nas nie wiedział co będzie. Potem przywleczono skazańców, młodego chłopca i starszego wiekiem mężczyznę, zupełnie już bezwładnego. W naszym szeregu przerażonych kobiet rozległ się szept, czy zduszony okrzyk "al kidusz haszem"... Jako wykonawcę egzekucji Niemcy wyznaczyli wysokiego, około 2-metrowej wysokości odemana - nazywał się Icio Zalc. Stałyśmy dość blisko by widzieć, jak niepewna, drżąca dłoń nakłada pętlę na szyję chłopca. W wyniku tych manipulacji ciało skazańca dwukrotnie spadło na ziemię. Niemcy szaleli. Z szeregu odemanów ktoś krzyknął histerycznie na Icia. W pewnym momencie ciało zadrgało i zawisło nieruchomo. Druga egzekucja przeszła sprawniej. Potem dowiedzieliśmy się, że ten młody chłopak nazywał się Haubenstock i że ukraiński wachman na wieży usłyszał, że chłopak gwiżdże sobie melodię piosenki "jesli zawtra wojna"... Melodię tę przywieźli do Krakowa ci, którzy powrócili ze Lwowa okupowanego przez Rosjan. Chłopca powieszono więc... za komunizm. Drugi, starszy - był to niejaki inżynier Kanreich, który podobno jeszcze w więzieniu, w Ordnungsdienście, przeciął sobie żyły, Prawdopodobnie już nie żył kiedy go wieszano. W innej części obozu powstało t.zw. "Neue Gelaende". Budowano tam pałacyk czy willę dla komendanta getta i jego przyjaciółki Ruth. Pracowano tam przeważnie w nocy, wielu więźniów zostało przy tej pracy zastrzelonych. Potem zaczęto brać kobiety do sprzątania - przyszła i na mnie kolej. Zauważyłam tam "dobrze", nie po obozowemu ubranego mężczyznę o poważnej twarzy, okolonej ciemnymi bokobrodami. Nie wyglądał na więźnia. Przyglądał się naszej grupie uważnie, przystąpił do nas i zaczął ze mną rozmowę. Okazało się, że jest to architekt, inż. Wiktor Reif, przewieziony do Płaszowa z tarnowskiego getta. Opowiadano mi potem w obozie, że Goeth odkupił go podobno za wagon skóry od komendanta getta tarnowskiego Johna i sprawdził do Płaszowa aby zbudował mu tę willę. Była to praca o tyle nie standartowa, że Goeth żądał by przystosowano całą budowlę i pomieszczenia do jego niezwykle potężnego wzrostu. Wszystko miało być wyższe i szersze od normalnych wymiarów. Inżynier był bardzo przygnębiony, miał za drutami żonę o losie której nic nie wiedział. Przeżyli oboje, odnaleźli się, mieszkają w Kanadzie. Było to chyba w czerwcu, kiedy dano mi znać, że w transporcie z Montelupich przywieziono Władkę do więzienia obozowego. Prosiłam różnych ludzi o pomoc w uwolnieniu jej - gdyż często z więzienia szło się wprost na rozstrzelanie. Pomógł mi niezawodny Maks - zaniósł jej nawet coś do jedzenia, nazajutrz wyszła z więzienia, pobita przez Finkelsteina i jakiegoś drugiego odemana, ale... żyła. Dowiedziałam się od niej, że wujek z ciotką (uratowani ze Lwowa), są w Warszawie, ich córka wraz z Jagusią, Władki młodszą siostrą, żyją w klasztorze. Władka przyjechała po jakieś pieniądze do Krakowa, chciała nocować u dawnej znajomej swego męża. Zastała tam szwagra tej znajomej który został zwolniony z niewoli, i ten ją zadenuncjował. Kiedy po wojnie poszłam odwiedzić tą panią, wydawała się przerażona moją wizytą - bała się widocznie że zażądaję zdania rachunku. Niemcy wymyślili sobie nową rozrywkę. Spędzano nas w dół obozu i kazano nosić na górę ciężkie płyty kamienne. Nosiliśmy je na głowach, podpierając z boku rękami. Był upalny, lipcowy dzień. Wokół był tylko piasek, byliśmy spragnieni, głodni, zmęczeni. Musieliśmy się skupić na tej Syzyfowej pracy gdyż ten, komu płyta wysunęła się z rąk narażony był na bicie lub śmierć. Nagle, na tle tej "pustyni", zbliżyły się do nas na koniach trzy postaci, w białych ubraniach. Był to komendant obozu Coeth ze swą przyjaciółką i ich przyboczny adiutant-koniuszy, odeman Samek Kempler. Przyglądali się w milczeniu naszej pracy. Sceneria jak z wstrząsającego filmu: niewolnicy na tle piasków, władcy i ... niewolnik- sługa. Samkowi udało się jakoś potem uciec z obozu do lasu, chciał się przyłączyć do partyzantów polskich, ale właśnie podobno partyzanci go zastrzelili. Mówiono, że to AK-owcy. Nikt nie zna prawdy. Pewnego dnia chmara bijących i krzyczących ordnungsdienstów zaczęła nas spędzać z terenów do baraków. Ogłoszono, że kto wyjdzie z baraków zostanie z miejsca zastrzelony. Byliśmy przerażeni, nie wiedzieliśmy co się stało i co nas czeka. Dowiedzieliśmy się potem, że wracając z pracy na placówce zwanej "SS-Bonarka" grupę więźniów, na skutek donosu konwojenta - Ukrainca, zrewidowano; znaleziono przy nich szmuglowaną do obozu żywność i pieniądze. Rozstrzelano ich z miejsca. Było tam 49-ciu mężczyzn i jedna kobieta. Kapomanem grupy był niejaki Karter pochodzący z Bielska, zastrzelona kobieta - to była jego żona.

Nazajutrz rano spędzono nas wszystkich na "apelplac". Wybierano nową grupę na miejsce tamtych, straconych. Nie wiem dlaczego, przy wyborze kobiety wzrok odemana zatrzymał się na mnie. Wybrał mnie na miejsce pani Karter. Sformowano naszą 50-cioosobową grupę i ruszyliśmy pod konwojem w kierunku Bonarki. Byłam podniecona myślą, że zbliżam się do rodzinnych stron i że może uda mi się uciec do państwa Saganów. W głębi duszy zdawałam sobie sprawę że to nierealne. Wśród otaczających mnie mężczyzn wyczułam napięcie i strach. Coś tam szeptało między sobą, była jakaś sprawa w którą mnie nie wtajemniczono. Dowiedziałam się tylko od kapomana, że będę pomagać żonie SS-fuehrera w cięższych pracach domowych i mam gotować zupełnie dla całej grupy. Zbliżyliśmy się do placówki. Były to olbrzymie magazyny wojskowe, administrowane przez SS. Przyjął nas niski, krępy SS-man. Wachman mu zameldował, że nie ma już tych ludzi którzy dotychczas pracowali, wybrano na ich miejsce nowych. Z byłej grupy są tylko dwaj, którzy poprzedniego dnia byli chorzy i nie byli w pracy. Kazano im wystąpić. Do jednego z nich, niemłodego już - nazywał się zdaje się Gehorsam, - ss-man powiedział: tak, wiem że byłeś chory, a kto drugi? W momencie dosłownie wstrzymano oddech: wystąpił jakiś chłopak. Było parę sekund napiętego milczenia, wreszcie ss-man powiedział: tak, ty też byłeś chory... Potem dowiedziałam się, że ten młody człowiek, poprzedniego dnia, kiedy zatrzymano grupę do rewizji, korzystając z zamieszania i gnany impulsem uciekł, i ukrył się w pierwszym lepszym baraku pod pryczą. Stamtąd komendant baraku kazał mu rano wyjść gdyż bał się narazić siebie i ludzi na odpowiedzialność za ukrycie zbiega. Chłopak przyłączył się więc do grupy, nie mając innego wyjścia. Od tych paru sekund, decyzji ss-mana, zależało jego życie...Nie pamiętam jak się chłopak nazywał. Spotkałam go w Krakowie po wojnie. Zamierzał przejść do Czechosłowacji a stamtąd do Palestyny. Pracowałam tam trzy dni. Żona komendanta, młoda jeszcze blondynka, po krótkim przeegzaminowaniu mnie zadecydowała, że najlepiej się nadaje do spacerów z jej trzyletnią córeczką Renatką i opowiadaniu malej bajek. Jedna z pracujących w kuchni Polek, poznała mnie, że jestem z Bergerów - pomagała dawniej w lecie przy żniwach we dworze. Pani komendantowa donosiła mnie i Renatce jedzenie. Trzeba przyznać, że sprawiedliwie dzieliła porcje. Któregoś popołudnia przysiadła się do nas, wskazała na piękny staw otoczony zaroślami i opowiedziała mi, że tu odpoczywało po pracy małżeństwo Karter. Mieli tu dobrze, gotowali tu sobie kury i inne przysmaki, których myśmy dawno nie widzieli. W obozie było wiadomo, że kto wychodził do pracy i miał kontakt z Polakami i pieniądze, handlował póki się dało, Zastanowiłam się nad tym co mi powiedziała. Nie wiedziałam poprostu czy należało kłuć w oczy i nie liczyć się ze skromnie w tym czasie odżywiającymi się Polakami a nawet Niemcami. Ale może to była jedna z tych form carpe diem ludzi skazanych, nie mających nadziei na przeżycie – ostatnie wieczery skazańców.. Po paru dniach ogłoszono w obozie ???Lagerspere i prawie nikt już poza obóz nie wychodził. Codziennie rozstrzeliwano ludzi. Głód, wszy i świerzb dokuczał wszystkim. Ambulatorium obozowe rozdawało jakieś maści przeciwświerzbowe - nawet pomagały. Wyczesywałyśmy z włosów, usuwałyśmy z odzieży masę robactwa, walczyłyśmy zacięcie by się nie poddać zeniedbaniu. Chodziłam kiedy tylko mogłam do łaźni - gorąca woda koła uporczywe swędzenie. Rozdawano nam mydła, słabo pieniące się, z napisem "RIF" - twierdzono że to skrót od "rein juedisches Fett". Podobno była gdzieś fabryka mydła gotowanego z żydów. O Wrzeszczu jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy. Mimo wszystko docierały jakieś wieści z zewnątrz. Było to zdaje się we wrześniu. Szeptano, że alianci bombardują miasta niemieckie, że Niemcy ponoszą duże straty. Nam, otoczonym drutami, wiźja wolności wydawała się nierealna. Mało kto wierzył że przeżyje. Na terenie obozu był też "Polenlager" w którym zamykano Polaków. Nagle "Polenlager" opróżniono - zrobiono tam jeszcze jedno miejsce egzekucji. Co jakiś czas budzono nas w nocy, spędzano na Apelplatz, staliśmy tak nawpół ubrani, trzęsący się z zimna, godzinami. Apel odbierał SS-man o polskim nazwisku, Zdrojewski. Skierowano mnie do pracy nocnej w t.zw. Papiergemeinschaft. Kleiłyśmy tan jakieś pudełka. Pewnej nocy, było to zdaje się 21 listopada, wpadli do fabryki odemani z Hilowiczem na czele, odczytali jakieś nazwiska według listy. Byłam na liście. Kazano mi wyjść z baraku. Wróciłam po płaszcz, oberwałam pejcem po plecach - myślałam, że płaszcz mi więcej nie będzie potrzebny. Popędzona krzykami odemanych wyszłam z baraku. Nazewnątr było już dużo ludzi, spędzonych z innych warstatów obozowych - wszyscy przerażeni. Kazano nam iść w kierunku Polenlagru, wiał zimny, listopadowy wiatr, pedał deszcz zmieszany z pierwszym w tym roku śniegiem. Chciałam, żeby mnie zastrzelono jak najszybciej. Ciekawe, nie bałam się śmierci, tylko momentu rozbierania się do naga. W Polenlagrze kazano nam wejść do baraków. Ludzie krzyczeli z przerażenia. Wtłoczono tam masę więźniów, nazewnątr słyhać było strzały, krzyki. W pewnym momencie wrzucono kilka wiader na odchody i zamknięto drzwi baraku z trzaskiem. Ludzie przypuszczali, że odłożono egzekucję do rana. Byłam samotna w tym tłumie przerażonych kobiet. W pewnym momencie zbliżyła się do mnie młoda kobieta, na której twarz, przypominającą rzeźbę w miniaturze, zwróciłam już poprzednio w obozie uwagę. Oprócz zwyczajnie malowanych pasów na ubraniu miała jeszcze wymalowane na płaszczu duże żółte koło. Znak, że złapano ją po aryjskiej stronie. Nie słyszałyśmy się nawzajem w tym krzyku. Wdrapałyśmy się na najwyższą pryczę i tam zaczęła się przyjaźń, która przetrwała obozy i trwała do mego wyjazdu z Polski. Moja nowa znajoma nazywała się z domu Marysia Wilenko, była córką małżeństwa lekarzy z Chełma Lubelskiego. Złapano ją w Krakowie wraz z mężem, matką i młodszą siostrą i przysłano do Płaszowa. Postanowiłyśmy nie poddać się psychozie zwierzęcego strachu,

jaka panowała w baraku, odizolować się jakoś od otoczenia. Zaczęłyśmy się "bawić", że jesteśmy w kawiarni i rozpoczęłyśmy rozmowę na temat literatury francuskiej. Dzisiaj to się może wydać jakąś formą nonsensownej aberacji. Ale wtedy pozwoliło nam nie poddać się atmosferze. Zresztą, trudno to dziś racjonalnie wytłumaczyć... Biedna Marysia! Gdyby nie to nie na czasie "pięknoduchostwo", byłaby usłyszała że jej mąż wraz ze znajomym odemanem wywołuje ją po nazwisku by ją wyciągnąć z baraku. Miałam wyrzuty sumienia kiedy po roku dowiedziałyśmy się o tym. Nad ranem drzwi baraku otwarto. Wszedł odeman i powiedział że wyjeżdżamy z Płaszowa. Marysię gdzieś oddzielił ode mnie tłum ludzi. Zeszliśmy nadół w kierunku rampy i szyn kolejowych. Stały tam wagony towarowe - zaczęto nas włączać do nich. Znowu byłam sama wśród przerażonej masy ludzkiej. Znalazłam z trudem kawałek miejsca na zabłoconej podłodze, ale w pobliżu ściany wagonu. Przysunęłam się bliżej i poprzez maleńką szparę mogłam widzieć coś z zewnątrz. Wrzucono za nami kilka bochenków chleba, - byłam za leniwa i otepiała by się upomnieć o swoje. Nie chciałam też stracić swego punktu obserwacyjnego. Zatrzaśnięto drzwi, wagony ruszyły. Widziałam przez moją szparkę pola, drzewa. Nagle gdzieś w dalekim polu pociąg stanął - słychać było z zewnątrz strzały, wzmogło się przerażenie w wagonie. Przez swoją szparkę zauważyłam w pewnej odległości od torów kolejowych rolnika, orzącego spokojnie pole. Wywnioskowałam z tego, że gdyby strzelano w pobliżu do jakichś ludzi, musiałby to zauważyć i nie kierowałby tak spokojnie końmi. Potem pociąg stanął na jakiejś stacji i jeden z konwojentów, Niemiec, spotkał widocznie jakiegoś znajomka w pociągu jadącym w przeciwnym kierunku. "Ich habe hier Juden" - doniósł mu wesoło, - "die werden alle umgebracht". Nie podzieliłam się tym co usłyszałam z nikim - nie chciałam powiększać ogólnego strachu. Myślę, że Niemiec liczył na to że go słyszymy. Na miejsce przeznaczenia zajechaliśmy pod wieczór. Nagle otworzono wagon, otwarto drzwi, świeże powietrze wtargnęło a wraz z nim kilku policjantów ukraińskich. "Schnell heraus" - kazano nam wyskakiwać z wysokich wagonów. Jedna z dziewcząt, Marysia Margulies, rodem z Przemyśla, rozpoznała w policjancie ukraińskim swego dawnego kolegę - z gimnazjum. Rozmawiał z nią przez całą drogę i od niego dowiedziałyśmy się, że jesteśmy w Skarżysku, gdzie znajdują się fabryki broni, t.zw. "Herman Goering Werke". Brnęliśmy w grząskiej, błotnistej ziemi, z trudem wyciągając nogi. Okolica była zalesiona, posępna. Wreszcie, popędzani krzykami, dobrnęliśmy do jakiegoś baraku i znaleźliśmy się w olbrzymiej, oświetlonej hali fabrycznej. Zrewidowano nas. Niemcy przychodzili nas oglądać. Z końca sali dochodziły krzyki: to Wachffuehrer bił leżącego na podłodze starego Żyda, podobno za kradzież chleba. Tak nas pedagogicznie przygotowano do następnego etapu naszej gehenny. Okazało się, że w transporcie była też Władka, odnalazłam też Marysię która spotkała się z matką i siostrą - mąż został w Płaszowie. Dano nam jakąś zupę na płatkach kartoflanych - przy obozie był młyn gdzie przemielano kartofle. Do rana spaliśmy na ziemi w tej hali, rano wprowadzono nas do baraków niewiele różniących się od płaszowskich, tylko, jak się później okazało, jeszcze bardziej zapluskwionych. Obóz otaczały wysokie lasy - podobno w tych lasach żyli partyzanci. Niedaleko była puszcza. Opowiedziano nam, że kilka dni przed naszym przyjazdem partyzanci napadli w nocy na szefa placówki w jego mieszkaniu i zastrzelili go, a jego kochankę, piękną Janinę, córkę jakiegoś stróża ze Skarżyska postrzelono - leży w szpitalu. Przychodziła potem do obozu a właściwie do fabryki i była entuzjastycznie witana przez tamtejszą elitę. Chociaż podobno donosiła - miała wiele ludzi na swym sumieniu. Obóz w Skarżysku zapisał się w mej pamięci jako największy koszmar wojennych przeżyć. Dużo czynników złożyło się na to. Byliśmy też niemal u kresu naszej odporności i wytrzymałości. Pozatym wyjątkowo przygnębiające wrażenie wywierali tamtejsi Żydzi. Spędzeni z okolicznych wiosek i miasteczek, zbiedzeni, oddawna jakby pozbawieni ludzkich cech. Chodzili człapiąc drewniakami /t.zw. w obozie "holenderkami"/, puszkę na zupę przytroczone do pasów pobrzękiwały ponuro przy każdym kroku. Porozumiewali się jakimś dziwnym żargonem, mieszaniną żydowskiego i chłopskiej, polskiej gwary, wymieszanej z obozowym slangiem. Gdy przywożono zupę, walczono o miejsce przy kotle do krwi, aż Niemcy musieli biciem rozdzielać to kłębowisko ciał, jak wygłodzone psy. Zgłodniałych, zezwierzęconych więźniów nie obchodziło, że Niemcy z zapalem fotografowali takie sceny. Była też arystokracja obozowa, złożona z szewców i krawców którzy ubierali Niemców, - byli dzięki temu syci i nie obdarci. Było kilku szczęśliwców, którzy dziwnym trafem znali trochę niemiecki i tak miesząc żydowski z niemieckim spełniali zaszczynną rolę tłumaczy. Patrzyli na nas złym okiem, jako że nie potrzebowaliśmy ich usług. Wielu z nich spoglądało jednak łakomie na "krakowianki" upatrując w nich materiał na żony obozowe, albo jak to się w ich języku nazywało - "kuzynki". Kiedy później nieraz prosiłam o porcję zupy dla bardzo osłabionej i apatycznej Władki, mej kuzynki, wywoływało to zawsze jakieś lubieżne, dwuznaczne uwagi. Ale byli między nimi też przyzwoici ludzie, jak komendantka naszego baraku. Nazywała się Raca Jedwab, rodem z Kalisza. Pomagała nam i doradzała jak mogła. Zginęła potem podobno - nie wiem w jakich okolicznościach. Byli też inni, ale poznaliśmy ich później. Obóz był podzielony na trzy t.zw. "werki". Ten, na który zajechaliśmy, gdzie odbywała się segregacja, był podobno najlepszy, t. zw. "Werk B.". Ostrzegano nas przed Werkiem C. gdzie pracowano w nieludzkich warunkach przy pikrynie i trotylu. Ludzi, którzy tam pracowali nazywano "Chińczycy". Żółty proszek przenikał do ich skóry, paznokci, nawet włosów. Przychodzili raz w tygodniu do nas na kąpiel - przedstawiali makabryczny widok. Potem na jakiś czas przestali przychodzić - podobno panował tam tyfus. W wyniku segregacji, Marysi

matka i siostra poszły na Werk.A. Nas porozdzielano do pracy. Była "dobra" praca przy młynie, można tam było najeść się kartofli i były różne prace w fabryce przy produkcji pocisków przeciwlotniczych. Kierownikiem młyna, był t.zw. "Dobry majster", Polak nazwiskiem Jabłoński. W fabryce obermajstrami byli Niemcy Schmidt i Stein. O Steinie mówiono, że jest niebezpieczny, choć zawsze uśmiechnięty. Byli tam też majstrowie-Polacy i ustawiacze maszyn - Żydzi. Nad ranem, po naszym przybyciu, zaczęto nas rozdzielać do pracy. Marysia i Władka dostały na początek biurowe prace, mnie Niemcy wybrali do kuchni ukraińskiej, co było przedmiotem ogólnej zazdrości. Jedzenie do stołówki dla wachmanów-Ukraińców przychodziło gotowe z niemieckiej kuchni - należało je tylko rozdzielić i pozmywać potem. Poza szorowaniem olbrzymich kotłów - termosów, nie była to ciężka praca. Crupa Ukraińców, zmobilizowanych do służby w obozie liczyła około 30 osób. Byli między nimi różni, zachowywali się różnie, a ich stosunek do mnie też nie był jednolity. Naogół jednak, patrząc na nich i słuchając jak śpiewają pełne nostalgii dumki ukraińskie, czy "Katiuszę", trudno mi było uwierzyć że ci sami weseli, niefrasobliwi chłopcy, wykonują te potworne egzekucje w pobliskim lesie. Czasami wydawało mi się, kiedy byli w stosunku do mnie wyjątkowo serdeczni - że mnie za coś przepraszają. Ten czy ów próbował sobie ze mną po grubiańsku, ale jakoś szybko to ustało. Zawsze znalazł się ktoś wśród nich, który potrafił poskromić niefortunnego zalotnika. Pomagali mi w dźwiganiu ciężkich kotłów bacząc tylko, by ich szef, nazwiskiem Schmidtkie, tego nie widział. Ukradkiem, wsuwali mi czasem jabłko czy cukierki. Natomiast wspomniany Schmidtkie był ordynarny i bardzo niebezpieczny. Starał się wchodzić gdy byłam sama w kuchni lub na korytarzu a ja cierpiałam ze strachu, wiedząc, że cokolwiek będzie, to ja padnę ofiarą. Ale miałam w tej sytuacji trochę szczęścia - jeden z Ukraińców, drobny, zawsze uśmiechnięty, - nazywał się Kokoć, starał się swemu przełożonemu zawsze przeszkodzić, ciągle wchodził pod byle pozorem do kuchni, aż się Schmidtkiemu, na moje szczęście, sprzykrzyło. Pozatym wróciła z urlopu jego kochanka, Ukrainka Anna, jak się okazało moja przełożona w kuchni. Opowiadała z zachwytem, jaki to ten Schmidtkie bogaty, jakie ma srebra i kosztowności - wszystko po Żydach. Nie widziała nic nienaturalnego w tym chwaleniu zrabowanego mienia, budziło to w niej raczej podziw i szacunek. Ukraińcy mieli się przed nią na baczności i choć poczynali sobie z nią dość swobodnie - a ona to lubiła, to starali się w jej obecności nie wykazywać mi życzliwości. Aż do jej przyjazdu, mogłam swobodnie po pracy wynosić wiadra jedzenia które pozostało i obdzielać tym towarzyszek w obozie. Anna patrzyła na to złym okiem - a nie byłam zbyt zręczna w kradzieży. Mimo wszystko udawało mi się czadami przemycić to czy owo. Przytyłem tam, nabrałam sił - miałam znowu rumieńce na twarzy. Pamiętam, raz, była to niedziela - Anny nie było, na kolację były solone śledzie i kartofle w łupinach. Wszystkim się bardzo chciało pić, kociołek z herbatą wypróżniono migiem. Okazało się, że tylko w niemieckiej kuchni można dostać coś do picia, a Ukraińcom nie wolno było tam wchodzić. Ofiarowałam się, że pójdę do niemieckiej kuchni i przyniosę im coś do picia. Powiedziałam, że chyba mi nic nie zrobia, najwyżej mnie wyrzucą. Kokoć i ktoś jeszcze wskazali mi drogę i postanowili czekać w korytarzu by odebrać odemnie wiadra. Poszłam w kierunku tej "uświęconej" części budynku, którą zajmowali Niemcy. W pustym korytarzu pojawił się jakiś mężczyzna, przyglądał mi się ciekawie i powiedział "Gruess Gott". Powiedziałam mu, że pracuję u wachmanów i chcę przynieść im coś do picia. Wszedł ze mną do kuchni, coś tam powiedział, napełniono mi wiadra czarną kawą bez słowa. Podziękowałam i poszłam w kierunku ukraińskiego skrzydła budynku. Opowiedziałam o tym spotkaniu Kokociowi i określiłam, jak wyglądał Niemiec. - A, to Nietzsche, dobry człowiek... Nie pracowałam tam długo. Była to zbyt dobra praca by samotna i pozbawiona oparcia więźniarka mogła sobie na nią pozwolić. Pewnego razu, przy porannym apelu, powiedział mi odeman, że idę do fabryki. Potem się dowiedziałam, że dostał pieniądze by wsunąć na moje miejsce jakąś protegowaną. Nie miałam do niej żalu - chociaż jej rodzina, mąż, córka i zięć byli ze mną w dobrych stosunkach. W tamtej sytuacji jedzenie było warunkiem przetrwania. Nota bene nie przeżyła obozu - jeszcze w Skarżysku nabawiła się różą na nodze, potem gdzieś ją wysłano skąd nie wróciła. Skierowano mnie do pracy w fabryce i nauczono wyrabiać pociski przeciwlotnicze. Pracę nadzorował Niemiec, Schmidt, o ile pamiętam nie specjalnie złośliwy. Byli tam majstrowie Polacy - jeden z nich nazywał się Tomaszewski - dokuczliwy antysemita. Na szczęście spodobała mu się jedna z dziewcząt więc usiłował nie wykazywać swej niechęci do Żydów. Był niejaki Jastrzębski, sprawca mych późniejszych kłopotów, który odrazu zaczął nas bezceremonialnie "tykać, i był pan Łoza, kulturalny, miły, który odnosił się do nas z dużym szacunkiem z domieszką litości. Nieraz dzielił się jedną z nas śniadaniem przyniesionym z domu. Był folskdójcz nazwiskiem Cholewe, którego się bano, był bowiem wykonawcą kar za złą pracę. Poskarżył się raz komuś, że poprostu nie umie i nie może bić kobiet. Dostawaliśmy raz dziennie supę na płatkach kartoflanych, kawałem chleba, czasami trochę marmolady i jakiś mętny płyn który nazywano kawą. Nasze grupa miała ze sobą getto, Płaszów, utratę najbliższych - cierpieliśmy też z powodu braku niezbędnej odzieży. Ale obraz t.zw. "kaelanek" był dużo bardziej żaloszny. Były to dziewczęta traktowane jeszcze gorzej niż my. Przywieziono je z koncentrac-łagru z Majdanka i stąd nazwa "kaelenki", potem, jak tam wybuchł bunt. Pierwsze zetknięcie z nimi w łaźni było dla nas szokujące. Były bardzo wychudzone, owrzodzone, wszystkie kąpały się opasane sznurkami - powiedziały nam potem, że noszą je... zamiast gumek do majtek. Przy bliższym poznaniu okazały się miłe, inteligentne i w tych potwornych warunkach wykazywały nieraz dużo inicjatywy w organizowaniu wieczorków literackich,

niektóre pięknie deklamowały i śpiewały. Jakoś najbardziej zapamiętałam z nich Basię W. pochodzącą ze znanej w Warszawie rodziny. W obozie była wraz ze swą siostrą... guwernantką, Marysią. Z początku bardzo biedowały w obozie, potem im było trochę lepiej dzięki swoistemu modus vivendi tych czasów. W Basi, pamiętam, zakochał się zezowaty krawiec Chaim. Była potem lepiej ubrana, nosiła piękne, błyszczące cholewy na miejsce poprzednio noszonych, połamanych drewniaków. Jeśli może się wstydziła swej nowej sytuacji, to w każdym razie nie dawała tego po sobie poznać. Wygląd guwernantki, Marysi, też uległ poprawie. Z władz żydowskich, oprócz odemanów, (naogół dużo lepiej odnoszących się do nas niż niektórzy "płaszowscy") zapamiętałam komendanta ordnungsdienstu - nie pamiętam jego nazwiska, ale zapisał się w mej pamięci lepiej niż Hilowicz, i "lager-komendanta" nazwiskiem Reissman. Przez pewien okres spałam na wspólnej pryczy z drobną, cichą, dużo starszą ode mnie więźniarką - nazywała się Rózia Strauss. W pewnym okresie zaczęła podejrzanie kaszleć, oczy jej błyszczały gorączkowo, miała suchą, rozpaloną skórę. Spluwała dyskretnie do jakichś szmatek i w nocy starała się przykładać usta do siennika by zdusić uporczywy kaszel. Często nie była w stanie zjeść swej porcji zupy, oddawała ją mnie - jadłyśmy ze wspólnej miski wspólną łyżką. Po jakimś czasie to już tylko ja jadłam - ona prosiła tylko o wodę. Potem zaczęły ją dręczyć biegunki i nie można już było dłużej uktyć jej stanu. Wzięto ją na "krankenstube" gdzie przypuszczalnie przyspieszono jej śmierć. Byłam już bardzo oziębiała w tym okresie i chociaż jej śmierć mnie dotknęła, nie byłam w stanie dużo o niej myśleć. Doszłam do przekonania, że prawdziwie emocjonalnego stosunku nabrałam do straty wielu bliskich mi osób dużo później; głód, nieludzkie warunki w jakich żyłam, spowodował pewne zobojętnienie na ludzkie tragedie. Resztki instynktu samozachowawczego dopingowały do chęci przeżycia jeszcze jednego dnia, czy tylko godziny. Z czasem zaczęły się nawiązywać jakieś kontakty ze światem zewnętrznym, mężowi Marysi udało się z Płaszowa przekazać adres żony jakiejs znajomej Polce w Warszawie. Marysia zaczęła dostawać paczki z garderobą i żywnością. Dzieliła się ze mną - czasami udawało jej się przesłać coś siostrze i matce na "werk A". Niezapomniany pan Łoza pojechał do Warszawy, skontaktował się w z wujkiem, który przesłał Władce i mnie trochę pieniędzy i bardzo smutny list. W liście wujek pisał do Władki, że Jagusia "zachorowała i na to co ty". Po wojnie dowiedziałyśmy się, że kiedy aresztowano w Krakowie Władkę, znaleziono w jej torebce pokwitowanie z klasztoru w Warszawie. Tak Niemcy trafili do klasztoru, gdzie była Alinka, córka wujka i Jagusia, siostra Władki. Alinka zdążyła w ostatniej chwili uciec, Jagusię Niemcy wywieźli z klasztoru i zabili. Pan Łoza był też w Krakowie u doktora Drozda u którego dowiedział się, że moja siostra jest w bezpiecznym miejscu. O szwagrze doktor wiedział tyle tylko, że żyje. Doktor niczego nie mógł mi posłać, sam biedował, żona go opuściła. Niewiadomymi dla mnie kanałami dochodziła do nas od czasu do czasu jakaś nikła pomoc. Niektórzy mówili, że to od amerykańskich Żydów, inni mówili, że to posyła podziemna organizacja pomocy Żydom. Nie wiem, czy to było oficjalne, może na mocy jakiejś umowy między Niemcami i Czerwonym Krzyżem i kto miał te kontakty - ale parę razy jedna z więźniarek rozdawała między nas prawdziwe masło i cukier. Bałam się dosłownie dotknąć te luksusowe przysmaki. Chciałam je wymienić zdaje się na pończochy, ale żyjąca jeszcze wówczas Rózia Strauss nie pozwoliła. Nie muszę chyba dodać, jak bardzo nam to pomogło i nie tylko fizycznie. Był to dla nas dowód, że ktoś w wolnym świecie o nas wie i usiłuje pomóc. Hala fabryczna na której pracowałam nazywała się w języku obozowym "pięćsetki". Nazwa wywodziła się stąd, że normą dzienną, narzuconą przez Niemców było wykonanie pięciu serii po sto pocisków na wiertarkach. Zabrałam się do tej pracy i początkowo szybko wykańczałam żadaną normę. Bardziej doświadczeni więźniowie ostrzegali mnie, że jest to niebezpieczne dla mnie, bo długo tego tempa nie wytrzymam a także stanowi to niebezpieczny precedens do podniesienia żądań. Mieli rację. Starałam się pracować wolniej, potem nie byłam w stanie wykonać nawet dwustu. Z biura kontroli przychodził czasem wysoki, chudy Niemiec w mundurze - nosił okulary w jasnej oprawie. Nezywano go "Bocian". Tenże "Bocian" upodobał sobie rozmowy ze mną przy maszynie. Jakimi drogami rozmowa potoczyła się w kierunku Schillera, Goethego i muzyki klasycznej, nie pamiętam. Interesował się mną, moim domem. Ilekroć pojawiał się na hali, dziewczęta mrugały do mnie z nad maszyn, że nadchodzi "Przyjaciół". Nabrałam takiej śmiałości w stosunku do niego, że nawet zanuciłam w rozmowie z nim fragment 9-tej symfonii Beethowena. Podjął temat bez zmruczenia oka i zacytował Schillera zerkając wokół, czy nikt nie podsłuchuje. Po jakimś czasie powierzono mnie i jeszcze jednej więźniarce, o śmiesznym nazwisku Łazęga, odpowiedzialną pracę na nocnej zmianie, w t.zw. "lakierni". Poinstruowano nas dokładnie na czym ta praca polega, wytłumaczono, że pociski przed wysłaniem na front muszą przejść proces "zakwaszania", który, o ile pamiętam, miał je uchronić przed rdzewieniem. Ten proces odbywał się w małym pomieszczeniu, przypominającym piekarnię. Pociski na taśmie wchodziły do olbrzymiego pieca - potem należało je szybko wyjąć, włożyć do zbiornika z acetonem, a potem do zbiornika z czerwonym lakierem. Ten ostatni etap był bardzo ważny, należało pilnować, by poziom lakieru w zbiorniku nie był za wysoki. Pracowałyśmy w nicianych rękawiczkach, które się bardzo szybko darły, tak, że opuszki palców były nieosłonięte i parzyłyśmy się w ręce od kwasu i gorąca. Niekiedy odbywający nocną straż Kokoć zachodził do "lakierni" i podsuwał czasem coś do zjedzenia. Opowiadał, że tęskni za matką którą zostawił w domu. Przypatrywał się naszej pracy i zwracał nam uwagę, by nie dotykać włosów rękawiczką przeżartą kwasem, bo się spalą.

Zauważyłam raz, że miał ochotę coś jeszcze powiedzieć, ale spłoszył go majster kontrolujący naszą pracę. Za parę dni gruchnęła wieść po obozie, że Kokoć zwał i zniknął w pobliskiej puszczy. Szukali go nodobno ale nic nie słyszeliśmy o tym, czy go znaleźli. Pewnej nocy, przyszedł na kontrolę majster Jastrzębski. Zwrócił nam uwagę, że w zbiorniku na lakier jest za mało płynu. Pokazałam mu, do jakiego poziomu ma lakier sięgać, według instrukcji które dostałam. Powiedział, że mam go słuchać i dosyć. Mał ranem przyszedł sprawdzić czy pracujemy zgodnie z jego wskazówkami. Następnej nocy odwiedził nas także - nie dyskutowałam z nim, nauczyłam się już nie pytać za dużo. Za kilka dni, kiedy spałam po pracy, obudził mnie wrzask odemana. - Te dwie z lakierni do biura! Ubrałam się szybko, drżąc ze strachu. Odeman popędzał mnie żebym się pospieszyła. Z sąsiedniego baraku ściągnięto rozspaną Łazęgę. Zaprowadzono nas do biura, w którym przyjął nas rozwścieczony "Bocian". - Dostałem telefon, że pociski są zepsute przez lakiernię, powiedział.- Jeśli to się zdarzy jeszcze raz, będzie źle z wami. Wróciliśmy do baraków, gdzie nie chciano nam uwierzyć, że to nam uszło na sucho. Nie zdążyłyśmy chyba jeszcze zasnąć, kiedy usłyszałam ponowny krzyk: te dwie z lakierni ne wartownię! Odprowadzono nas na t.zw. "wachę" gdzie czekali już zgromadzeni Ukraińcy. Z moich dawnych "znajomych" z kuchni, było może dwóch, reszta same nowe twarze. Wachfuehrer wskazał na nas Reissmanowi, wręczył mu pejcz i powiedział: te dwie źle pracowały tej nocy. Wezwano nas kolejno i wszystko odbyło się według znanego w obozie rytuału. W obecności przyglądających się Ukraińców, Wachfuehrer odliczał, Reissman machał pejczem. Potem na wpół omdlałą zawleczono mnie do baraku, z daleka dotarły do mnie krzyki katowanej Łazęgi. Dowiedziałam się potem, że wrócił z Drezna cały transport zepsutych pocisków z żądaniem natychmiastowego ukarania sprawców. I może Beethovenowi i Schillerowi zawdzięczamy z Łazęgą, że usłyszy z życiem z tej historii... Wieczorem, przy rozdziale marmolady, pan Reissman przesłał mi dodatkowo papier z resztkami marmolady do wylizania."Schmerzens-geld", powiedział. Nie zastanawiałam się nad cynizmem tej wypowiedzi - marmoladę chyba zjadłem. Pan Reissman mnie odwiedził i powiedział, że miałam szczęście, że to on był wykonawcą egzekucji, bo podobno dużo więcej boli, jak się odczekuje między jednym razem a drugim. Moje wykształcenie obozowe uzupełniła więc informacja, że i bicie posiada swe arkana sztuki i technikę wykonania... Pozostała mi po tej historii trwała dolegliwość w postaci obsunięcia się jednej nerki i inne przykre przypadłości. Po paru dniach wróciłam do pracy, już nie do lakierni ale na "pięćsetki". Nogi w drewniakach nie wytrzymały już 10-godzinowego stania przy maszynie. Pojawiły się żylaki, z rozdrapanych ukąszeń komarów miałam jątrzące się rany, które mi smarowano w obozowym ambulatorium jakimś płynem, ale nie goiły się. Nie mogłam już ustać przy pracy - często słabłam. Nie wykonywałam nawet dwustu pocisków. Majster Schmidt kręcił głową nade mną a żydowscy ustawiacze byli też wyraźnie zaniepokojeni i wyrażali obawę, że to się może dla mnie źle skończyć. Patrzono na mnie jak na skazaną. Nie było mi jednak przeznaczonym umrzeć wtedy. Pojawił się "Deus ex machina", majster Nietzsche, który otworzył osobny dział pracy przy pakowaniu t. zw. "Platzpatronen" - ślepych naboju. Mówiono że to siedząca i łatwa praca a Nietzsche miał opinię dobrego człowieka. Żeby się tam dostać, trzeba było obozowej protekcji. Oczywiście z miejsca przeniesiono tam żony i przyjaciółki odemaków. Okazało się jednak, że miałam w obozie trochę przyjaciół. Ustawiacze - Żydzi porozmawiali z majstrem Cholewe /nazwisko jednego z nich pamiętam - nazywał się chyba Bomsohn/ żeby umieścić mnie na liście do przeniesienia. Majster Jastrzębski zaczął mnie kiedyś, że jeśli mam pieniądze, to on mi załatwi przeniesienie. Absolutnie nie dał do zrozumienia, że poczuwa się do jakiejś winy za mój stan. W zasadzie wyglądało to tak: polska dywersja pokierowała sabotażem, Żydówkę skatowano - krąg się zamknął. By uratować swe życie powinna jeszcze za to zapłacić... Nie miałam pieniędzy i nie wierzyłam własnym uszom, kiedy Cholewe wyczytał moje nazwisko między innymi, szczęśliwymi, które przeniesiono do "Platzpatronen". Podeszłam do niego by mu podziękować - odpowiedział: "na zdrowie!" Miałam od tego czasu lekką pracę w dobrej jak na obozowe warunki atmosferze. Majster Nietzsche chyba przypominał sobie nasze spotkanie w mrocznym korytarzu prowadzącym do kuchni niemieckiej - uśmiechnął się i wskazał mi miejsce. Nie wtrącał się do nas za dużo i udawał, że nie widzi jak się "objamy". Była już wiosna 1944 roku. Polacy pracujący w obozie opowiadali że Niemcy są bombardowane i że chyba niedługo będzie koniec wojny. Nie wiedzieliśmy co Niemcy z nami zrobią - przypuszczaliśmy, że nas rozstrzelają z likwidacją obozu. Nikt z nas nie wierzył że doczekamy wolności. Tymczasem były jakieś trudności z transportem stali - podobno zbombardowano pociągi. U nas nie było już surowca i nie było wiele roboty. Nie wróżyło to nic dobrego - wiadomo było, że nie będą nas "żywić" zadarmo. Tu i ówdzie nadchodził jakiś transport surowca - Niemcy stali się nerwowi, nie rezygnowali jednak z bicia, mówiono o tym, że czeka nas znowu selekcja. Końcem czerwca mówiono już konkretnie o likwidacji obozu. W lecie, w barakach było bardzo duszno i gorąco. Dokuczały nam wszy, komary, pluskwy spacerowały swobodnie po pryczach i naszych zmęczonych, niedożywionych ciałach. Miewaliśmy też innych gości w nocy. Nagle w baraku zapalało się światło i w progu stał majster Stein w towarzystwie innych Niemców. Ze swym uśmiechem zboczeńca przyglądał się przez długą chwilę naszym obnażonym i parującym z przegrzania ciałom. Ponieważ często mężowie przemykali się na noc do żon, specjalną przyjemność sprawiał mu widok splecionych uściskiem par - i wyganianie przerażonych, rozspanych mężczyzn. Byłam już wtedy bardzo wycieńczona z głodu. Obrzęknięte dziąsła krwawiły - połykałam tę krew i razu pewnego wysunęłam sobie

językiem kilka zębów... Pomógł mi w tym okresie Janek Leinkram, więzień zatrudniony przy młynie kartoflanym. Ukradł kilka razy dla mnie ziemniaki: wywoływał mnie wieczorem z baraku i oglądając się na wszystkie strony wysypywał ziemniaki spod koszuli. To było szlachetne z jego strony gdyż bardzo się narażał - poza tym miał w obozie żonę, Gizę i jej matkę, o które też musiał dbać. Dowiedziałam się niedawno, że zmarł końcem kwietnia 1945 roku w transporcie z Buchenwaldu do Teresienstadtu. Początkiem lipca wezwano nas wszystkich na Apelplac. Lagerfuehrer w towarzystwie lekarza obozowego /Żyda, dr. Strassera/, stawał przy każdym więźniu i decydował o jego losie. Długo zastanawiał się przy mnie i przy Władce, patrząc na nasze okaleczone, poranione i odmrożone nogi. Doktor Strasser przekonywał go długo, że to są powierzchowne rany, że nas zna i badał, że jesteśmy całkiem zdrowe. Ocalił nam życie! Innych, starszych wiekiem, i tych którzy nie mogli już utrzymać się na nogach, odłączono od nas. Dużo ludzi straciło wtedy matki, ojców, siostry czy braci. Rzucano się Lagerfuehrerowi do nóg z błaganiami o darowanie życia najbliższemu, była płacze, krzyki. Janek przytrzymał Gizę wyrwającą się do matki. Skazanych załadowano do auta i wywieziono. Chyba zginęli w parę minut potem, zastrzelono ich bowiem w pobliskim lesie. Od Gیزی wiem, że było to w "Tisza Be-aw"... Pozostałych skierowano znowu do baraków, gdzie było wiele próżnych prycz. Powiedziano nam, że pojedziemy do Niemiec do pracy. Tej nocy nie rozbierałyśmy się. Każda miała swój mały pakunek z osobistymi "skarbami" przy sobie. Było jeszcze ciemno na dworze gdy na progu baraku stanął komendant Ordnungsdienst i przemówił do nas uroczystym głosem: - Dziewczęta! Nadeszła ta pora kiedy trzeba się stąd ruszyć. Ustawcie się czwórkami - będziemy iść szybko, niech nikt nie pozostaje w tyle. Każdy, kto znajdzie się poza szeregiem, może zostać zastrzelony. Ruszyliśmy w nieznane - nikt nie wiedział dokąd. O ile sobie przypominam, nie szliśmy w kierunku stacji tylko gdzieś na boczne tory, gdzie stały otwarte wagony towarowe. Spotkaliśmy się tam z tymi którzy zostali przy życiu i nie zostali wywiezieni w głąb Niemiec z "Werku A". Odliczano nas niezliczoną ilość razy. Zapowiedziano, że będą częste postoje - kto wyjdzie z wagonu lub spróbuje uciekać, zostanie zastrzelony. Weszliśmy do wagonu. W wagonie przed nami i za nami byli uzbrojeni w karabiny Niemcy. Zdaje się, że była to żandarmeria. Nie wykazywali wrogości w stosunku do nas. Jeśli nawet nie mogliśmy uwierzyć w zbliżający się koniec wojny, to sam fakt, że wagony były otwarte, pogoda piękna, wyzwolił w nas tak długo przytłumioną radość życia. Zaczęłyśmy śpiewać, niepewność dalszego losu wyzwoliła w nas wisielczy humor. Niemcy - konwojenci rzucali nam do wagonów czekoladę, chleb. W naszym wagonie była dziewczyna złapana dość późno na aryjskich papierach. Wyróżniała się ogniste rudą czupryną, była piegowata, miała duże zielone oczy i swoisty wdzięk. Oznaczała się wyjątkowo pięknym, srebrzystym głosem, śpiewała pięknie po polsku i po niemiecku. Nazywałyśmy ją "Ruda Elza". Nasi konwojenci nazywali ją "Schwedische /?!/ Nachtigall". Wyraźnie jej śpiew budził w nich jakieś ciepłe wspomnienia. Po kilkunastu godzinach jazdy byłyśmy już zmęczone. Chleb się skończył, byłyśmy głodne, śpiewałyśmy rzadziej. Zatrzymaliśmy się na stacji z napisem Stradom. Nazwa stacji przypominała nam jedną z krakowskich ulic. Z wagonów zeszli Niemcy-cywile. Jeden z nich nosił tyrolski kapelusz i przyglądał nam się ciekawie. Do wagonów zbliżyli się kolejarze - Polacy. Poprosiłyśmy o chleb, - jeden z nich przyniósł bochenek i zażądał za to - nie pamiętam już ile, ale bardzo dużo pieniędzy. Nie mogłyśmy kupić. Zbliżył się jeszcze jakiś kolejarz i patrząc wokół niespokojnie powiedział: jeśli macie przy sobie jakieś złoto, pieniądze lub brylanty, to rzućcie nam - wam już niepotrzebne, i tak idziecie na mydło... Zamilkłyśmy przerażone, niektóre zaczęły płakać. Niemcy na peronie zwrócili uwagę na zmianę naszego hastroju i jeden z nich, ten w kapeluszu, zwrócił się w stronę "Rudej Elzy" i zapytał: "Schwedische Nachtigall", warum bist du so traurig? Ponieważ tak czy tak "miałyśmy iść na mydło", Elza z determinacją zacytowała Heinego: ...Ich weiss nicht was soll es bedeuten Das ich so traurig bin... Niemcy uśmiechnęli się nieco skonfundowani a na to Elza nabrała głębokiego oddechu i krzyknęła z rozpaczą: - Um Gottenswillen, sagen Sie uns die Wahrheit, ist es wahr, dass wir auf Seife gehen?...Wyglądało na to, że Niemcy niezupełnie początkowo zrozumieli ale coś tam poszeptali między sobą i zaręczyli nam, że jedziemy do pracy. Wtedy ktoś z wagonu konwojentów krzyknął, że to te "Schweinehunde- Polen" tak nas widocznie nastraszyli. Odgoniono kolejarzy od transportu i więcej nam nie było wolno z nimi rozmawiać. Pociąg ruszył a myśmy się ciągle jeszcze zastanawiały czy to możliwe że kolejarze mówili prawdę. Wjechaliśmy w jakiś obszar z napisem Częstochowa - Hasag. Samo przyjęcie od razu nie zapowiadało że grozi nam jakieś natychmiastowe niebezpieczeństwo. Dostawiono do wagonów jakieś skrzynie żeby nam było łatwiej zejść, nikt nas nie wypychał - stali tam Niemcy i więźniowie Żydzi, którzy pomagali nam schodzić ze stopni. Więźniowie uśmiechali się przyjaźnie - w ogóle przyjęcie było inne niż w Skarżysku. Z miejsca rozdzielono nam smaczną zupę, przyniesiono nam jakieś rzeczy - bieliznę zdaje się, z magazynu. Mnie osobiście dużo serdeczności okazała rodzina Bodzechowskich, która w obozie miała duże wpływy. Rozdzielono nas po barakach, dostałyśmy mydło i ręczniki. Ciekawe jest to, że z mej okupacyjnej przeszłości wspomnienia z obozu częstochowskiego najbardziej zatarły się w mej pamięci. Może przyczyną był wstrząs związany z bliskim już odzyskaniem wolności. Może dlatego, że ta wolność, w początkowym jej etapie też obfitowała w różne tragedie - nie bardzo umiem to sobie dziś wytłumaczyć. W każdym razie nam, nowoprzybyłym, wydawało się w pierwszym okresie, że jest na terenie obozu jakaś organizacja, jakaś konspiracja, - może jakieś ciche porozumienie między niektórymi Niemcami i Żydami. Kiedy



skonfrontowałam te swoje wrażenia po wojnie z ludźmi z Częstochowy, okazało się że to nie było prawdą. Po prostu było na terenie obozu kilku przyzwoitych Niemców tak, że atmosfera tam była inna od tej, jaka panowała w Płaszowie czy Skarżysku. Ambulatorium obozowe było dobrze zaopatrzone - chodziłam tam codzień na opatrunki. Nie wszyscy tam byli aniołami. Komendantką naszego baraku była niemiecka Żydówka, która nam bardzo dokuczała, szczególnie szykanowała inteligentki mówiące po niemiecku. Zachodził często do naszego baraku niski, karłowaty Niemiec, nazwiskiem Stieglitz. Opowiadano o nim, że jest nekrofilem. Był w wielkiej przyjaźni z naszą komendantką, która mu skwapliwie wszystko donosiła. Ponieważ i do tego obozu dochodziła jakaś pomoc z zewnątrz - a w obozie pracowali też Polacy, - Władce udało się nawiązać kontakt z klasztorem w Krakowie, którego przeoryszą była przyjaciółka jej matki, Maria Glatzel. Przeorysza przesłała Władce trochę pieniędzy i list ze słowami otuchy i modlitewnik. Komendantka, która wiecznie grzebała w naszych rzeczach, odnalazła pod siennikiem Władki ten modlitewnik i z miejsca doniosła o tym Stieglitzowi. Zrobiono nam zbiórkę, Władkę gdzieś zabrano i doprawdy, nie wiem kto ją wówczas wyratował, w każdym razie wróciła. Pracowałam w Częstochowie przeważnie przy maszynie pakującej pociski. Raz maszyna wyrzuciła zgniecione pudełko, z którego pociski wypadły. Oberwałam za to siarczysty policzek od dozorującego nas majstra - nazywał się Krauze. Stale były jakieś selekcje i dużo ludzi odsyłano gdzieś z obozu. Przyjechał do obozu Niemiec nazwiskiem Battenschleger w towarzystwie swego totumfackiego, znajomego mojej rodziny z Krakowa, pana H. Okazało się, że przyjechali po to, by zorganizować zbiorową wysyłkę ludzi do Niemiec. Między innymi wybór padł na Władkę. Skierowano ją wraz z innymi do innej, zamkniętej części obozu. Moja interwencja i błagania u pana H. nie odniosły skutku. Był bardzo przejęty zaufaniem jakim go Niemiec darzył i swoją rolę w przeprowadzeniu akcji. I tak rozłączono nas z Władką. Gdzieś mniej-więcej w tym okresie przyjechało z Płaszowa kilka osób, między innymi mąż Marysi. Przywiózł ich SS-man, którego nazwiska już nie pamiętam ale wiem, że prosił tych, których konwojował o jakiś list potwierdzający jego przyzwoity stosunek do więźniów i pomoc jakiej im udzielił. Był to dla nas dowód, że Niemcy zdają sobie sprawę z bliskiego kresu i szukają zabezpieczenia na przyszłość. Od tych którzy przyjechali z Płaszowa dowiedzieliśmy się że w maju rozstrzelano wszystkie dzieci które jeszcze znajdowały się na terenie obozu. Dowiedziałam się, że mój wujek, inżynier, został wysłany do Mauthausen (gdzie zginął potem przy pracy w kamieniołomach), drugi wujek, ten, z którym mieszkaliśmy w getcie, został wysłany do Cross-Rosen. Nie pamiętam dokładnie ale zdaje mi się, że od tych ludzi dowiedzieliśmy się też, że Niemcy zastrzelili Hilowicza z żoną, Finkelsteina i innych, których nazwisk już nie pamiętam. Podobno pozostałych więźniów zmuszono do oglądania ciał zastrzelonych. Codziennie wysyłano z obozu więźniów, podobno do Niemiec. W tym okresie nie decydowało już zdrowie czy wygląd, poprostu ślepy los: links, rechts. Przypadek. Ale do końca nie było wiadomo co zrobią z nami, pozostałymi. Tak upłynął listopad, potem grudzień 1944. Mało co pamiętam z tych ostatnich obozowych dni. Wszyscy byli radośnie podnieceni a jednocześnie bali się. Ja osobiście, przyznaję, bałam się też tego co mi przyniesie wolność. Bałam się, że nie mam do kogo wrócić i nikt nie wróci do mnie. Niemców w okresie mało widziało się na terenie obozu, ale na bramie trwał niewzruszenie wartownik w futrzanej kurtce, bardzo niebezpieczny. Nazywaliśmy go "Pomnik". Rekrutował się z t.zw. "Wolgadeutsche". Gdzieś w połowie stycznia 1945 roku, zaczęły dochodzić do obozu odgłosy strzałów armatnich, pewnej nocy - nie pamiętam już na czyj rozkaz, wyszliśmy z baraków. Na placu przed bramą niezliczone mrowie ludzi parło niecierpliwie do wyjścia. Tak bardzo bałam się "Pomnika", że próbowałam się oprzeć, ale tłum mnie wypchnął, dosłownie uniósł ze sobą. W budce wartownika nie było nikogo. Wokół padały rakiety i oświeślały zaśnieżony, górzysty teren. Ludzie zaczęli formować się w grupy. Częstochowianie, jako miejscowi objęli dowództwo. W-tem, na zakręcie drogi, pokazała się grupa żołnierzy niemieckich. Ludzie zaczęli pierzchać w przerażeniu. Doceniłam niebezpieczeństwo sytuacji i doszłam do Niemców. Powiedziałam, że jesteśmy nietutejsi, że byliśmy tu w obozie i "man hat uns frei gelassen!" Zapytałam, dokąd mamy pójść. Jeden z żołnierzy zapytał, co wolimy: czy czekać na Rosjan, czy iść z nimi. Odpowiedziałam, że oczywiście wolelibyśmy pójść z nimi. W odpowiedzi usłyszałam: "DANN GEHEN SIE NACH LINKS wo die schwartze Madonna ist (klasztor) - dort sammelt man die Leute die nach Reich fahren". Podziękowałam i poszliśmy szybko, przez nikogo nie zatrzymywani w PRAWO. Następną grupą żołnierzy, na którą natknęliśmy się, dosłownie pod oświetleniem rakiet zjechała na nas z ośnieżonej góry. Pokazali nam, od której strony miasto jest zdobyte, gdzie nie ma frontu i możemy spokojnie przejść. Byli to Rosjanie. Na tym właściwie należałoby zakończyć. Ponieważ jednak wspomnienia powyższe są napisane mimo ich pełnego autentyzmu pod pewnym aspektem, chcę je uzupełnić jeszcze jedną, krótką relacją. Po jakimś tygodniu - który może stanowić temat osobnego opowiadania - nasza niewielka grupa Krakowian postanowiła wrócić do rodzinnego miasta. Po uzyskaniu przepustek w radzieckiej komendanturze ruszyliśmy w tę ostrą zimę, etapami, zabierani przez wojskowych rosyjskich, w kierunku Krakowa. Po drodze nocowaliśmy w jakiejś wsi, w jakiejś kurnej chacie chłopskiej. Raz, było to w Olkuszu czy Zawierciu - nie pamiętam już dokładnie, w dość wygodnie urządzonych barakach, gdzie mieszkało kilka polskich rodzin przyjęto nas owacyjnie, jak bohaterów narodowych. Różnymi okrężnymi drogami, dobiliśmy wreszcie do wytęsknionego Krakowa. Rosjanie wysadzili nas na przedmieściu, w Bronowicach. Zbliżała się 7-ma wieczór, godzina policyjna. Pojawili się

milicjanci i powiedzieli nam, że musimy gdzieś przenocować, nie wolno się kręcić po ulicy. Zwrócili się o pomoc do nielicznych już przechodniów. Jakaś przechodząca elegancko ubrana paniusia powiedziała: niby ich wymordowano a znowu ich tyle... Rozlokowano nas jednak po domach. Ja trafiłam do rodziny praczki, gnieźdzącej się z mężem i małym dzieckiem na poddaszu jakiegoś domu. Odstąpiono mi na tę noc jedyne łóżko w rodzinie. Kobieta wyprała strzępy mojej bielizny i rano starannie je wysuszyła gorącym żelazkiem bym na ten mróz nie wychodziła w mokrym ubraniu. Wolny świat otworzył się przed nami znowu swym podziałem na ludzi dobrych i złych...